POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | ***Dnia 10-go stycznia 1942r.*** | **Rok IV. Nr. 2**

Punkt ciężkości w stosunkach polsko-czechosłowackich

SPRAWY NIESPORNE

Wiele dotychczas powiedziano i napisano na temat Polski powojennej. Istnieją w tym rozbieżności, ale są i sprawy, co do których wszyscy się zgadzają. Celem tego artykułu nie jest wyliczanie tych zagadnień, które nie wzbudzają wątpliwości, pragnę natomiast wymienić najważniejsze z pośród tych spraw, które łączą się bezpośrednio ze stosunkami polsko-czechosłowackimi. Są to: wola pełnego porozumienia z Czechosłowacją oraz odzyskania Prus Wschodnich i Gdańska. Żadnego Polaka nie trzeba już przekonywać o słuszności i konieczności osiągnięcia tych dwu celów, jako niezbędnych dla przyszłego istnienia Polski.

Zupełnie inny problem, w który obecnie nie wchodzę, stanowi to, czy strona czechosłowacka i brytyjska jest także o tym przekonana. Pragnę tylko podkreślić, że urzeczywistnienie tych dwu polskich zamierzeń jest w pewnym stopniu uzależnione od opinii czechosłowackiej i brytyjskiej.

CZECHOSŁOWACJA I PRUSY WSCHODNIE

Dla zrozumienia aktualnego związku, istniejącego pomiędzy Czechosłowacją i Prusami Wschodnimi, nie trzeba sięgać aż do tych czasów, kiedy w polityce wschodniej królów czeskich Prusy Wschodnie odgrywały poważną rolę. Wystarczy przypomnieć doświadczenia z lat, poprzedzających obecną wojnę, kiedy to okazało się wyraźnie, że—niezależnie od tego, czy Czechosłowacja jest związana politycznie z Polską, czy nie—może ona tylko wtedy zapewnić sobie bezpieczeństwo na północnej granicy, jeśli Polska jest w stanie prowadzić niezależną politykę wobec Niemiec.

A to będzie możliwe tylko w wypadku, jeśli Polska będzie mocno i szeroko oparta o Bałtyk. To też włączenie Prus Wschodnich do Polski jest tym materialnym czynnikiem, który umożliwia ustalenie stosunków pomiędzy Polską i Czechosłowacją, uniezależniając w dużym stopniu oba te państwa od ustawicznego nacisku Niemiec. Dodać do tego należy, że Czechosłowacja—nie mająca własnego morza, a należąca geograficznie do zaplecza Bałtyku—musi dbać jak najbardziej o wytworzenie sobie możliwie mocnej pozycji politycznej i gospodarczej na wybrzeżach Morza Bałtyckiego. A w obecnej sytuacji najprostsza do tego droga wiedzie przez poparcie polskiej polityki morskiej.

ZMIANA GRANICY ZACHODNIEJ

Jeśli chodzi natomiast o zmiany, mające nastąpić na zachodniej granicy Polski z Niemcami, to bodajże wszyscy jesteśmy tego samego zdania, że powinny one nastąpić, panują natomiast poważne rozbieżności co do samego zakresu projektowanych zmian. Minimalistyczne, umiarkowane propozycje przewidują niewielkie poprawki graniczne, maksymalistyczne, skrajne — pragną przeprowadzić przyszłą granicę Polski z Niemcami na lewym brzegu Odry, od miejscowości Rostoki nad Bałtykiem do punktu, w którym przedmonachijska granica Czechosłowacji i Niemiec przecinała Łabę, z wygięciem linii granicznej ku wschodowi na wysokości Berlina.

Nie zamierzam bronić tutaj żadnego z projektów, chciałbym się jednak od razu zastrzec—ze względu na panujące u nas przyzwyczajenia polemiczne—co do określania nawet tezy maksymalistycznej mianem imperializmu polskiego. Przyszła granica polsko-niemiecka jest zbyt poważnym zagadnieniem, aby załatwiać się z takim czy innym projektem jej ustalenia za pomocą frazesu demagogicznego. Każda teza ma tutaj swoje uzasadnienia i swoje niedociągnięcia, a sprawa jest tym poważniejsza, że od ustalenia tej granicy będą w dużym stopniu zależały materialne możliwości dalszego parcia Niemiec na wschód, wszystko jedno czy prowadzonego przy pomocy wojny, czy drogą nacisku politycznego, przenikania gospodarczego lub wpływów nauki i sztuki. Wiemy dobrze, że dla Niemiec to są tylko różne drogi zmierzające do tego samego celu.

Pragnę natomiast jak najmocniej podkreślić, że inna granica z Niemcami jest potrzebna i możliwa do utrzymania dla Polski, a inna dla porozumienia Polski i Czechosłowacji, nawet gdyby nikt więcej do tego porozumienia się nie przyłączył. To też jeżeli będziemy sprawę przyszłej granicy zachodniej rozpatrywali wyłącznie ze stanowiska Polski, to oczywiście zbliżać się będziemy do poglądu minimalistycznego, jeśli natomiast przystąpimy do tego ze stanowiska porozumienia Polski i Czechosłowacji, to będziemy znów bliscy projektów maksymalistycznych.

W każdym razie stwierdzić należy, że to drugie ujęcie jest prostym następstwem decyzji porozumienia się Polski i Czechosłowacji oraz koniecznością, jeżeli chcemy tę decyzję przeprowadzić. Inne bowiem są możliwości i potrzeby życiowe takiego porozumienia, a inne możliwości i potrzeby samej Polski i samej Czechosłowacji. Jeżeli postanowiliśmy takie porozumienie zawrzeć, to musimy patrzeć na wiele spraw nie z punktu widzenia samej Polski, ale ze stanowiska tego porozumienia oraz uczyć się myśleć politycznie i gospodarczo nowymi pojęciami, odpowiadającymi naszej nowej rzeczywistości.

DROGI NIEMIECKIEJ EKSPANSJI NA WSCHÓD

Istnieją od wieków trzy zasadnicze drogi niemieckiej ekspansji na wschód: wzdłuż Bałtyku, poprzez Śląsk i wzdłuż Dunaju. Zajmując stopniowo wybrzeże Bałtyku, a przez to i ujścia rzek do niego wpadających, Niemcy dążyli do odcięcia od świata zamieszkałych tam narodów, a przez to do całkowitego uzależnienia ich od siebie.

Wdzierając się na Śląsk—dążyli do oddzielenia od siebie Polaków i Czechów, aby tym łatwiej osłabić ich i uzależnić od siebie.

Jednocześnie chcąc oddzielić Czechów od Słowaków, wdzierali się na Morawy przez Austrię od południa i przez Śląsk od północy. To też Śląsk Cieszyński był ziemią sporną pomiędzy Polską a Czechosłowacją nie tylko ze względów narodowościowych, historycznych, czy gospodarczych, ale głównie dlatego, że stanowił ostatnią przeszkodę przed zalaniem północnych Moraw i Słowacji przez Niemców. Polska i Czechosłowacja nie zdecydowały się na wspólną obronę Śląska, a osobno utrzymać go nie mogły, z powodu wzajemnego braku zaufania; a tymczasem zaognienie granicy osłabiało jeszcze bardziej odporność tej ziemi.

Trzeci szlak naddunajski miał natomiast ułatwić przenikanie niemieckie wzdłuż tej tak ważnej arterii komunikacyjnej i gospodarczej oraz oddzielić Bałkany od państw, położonych na północ od Dunaju. Posuwanie się niemczyzny na ziemiach, położonych pomiędzy tymi trzema kierunkami, było w dużym stopniu wynikiem osiągnięć na głównych szlakach ekspansji.

I dlatego też ustalając po tej wojnie nową wschodnią granicę Niemiec, należy przede wszystkim łamać niemczyznę na tych trzech szlakach; każdy odzyskany kilometr to cofnięcie ekspansji niemieckiej o dziesiatki lat, to zdobycie nowych możliwości wzmocnienia i centralizacji Środkowej Europy, to osłabienie ducha zaborczości niemieckiej, to odsunięcie o kilka następnych lat nowej napaści niemieckiej!

PRZYSZŁA GRANICA POLSKI I CZECHOSŁOWACJI

Przedmonachijska granica pomiędzy Polską a Czechosłowacją była tak przeprowadzona, że wykluczała zbliżenie obydwu państw. Wystarczy podkreślić, że nie było w ogóle wspólnej granicy pomiędzy Polską a Czechami, czy Morawami. Granica biegła przez Śląsk, gdzie ciągle było pełno sporów, dalej—wzdłuż Słowacji i Rusi, a więc krajów, stojących niżej kulturalnie i gospodarczo od sąsiadującej z nimi Małopolski. Tak było, ponieważ pomiędzy Czechów i Polaków wdarli się Niemcy, którym najbardziej zależało na stałych wzajemnych nieporozumieniach obydwu słowiańskich sąsiadów.

W wyniku tego odległość pomiędzy Pragą i Poznaniem, a więc zachodnimi ośrodkami czeszczyzny i polszczyzny wzrosła podwójnie, ponieważ trzeba było objeżdżać Śląsk, zajęty przez Niemców. Linia powietrzna Praga-Poznań wynosi około 320 klm, podczas gdy jako przeciętną odległość pomiędzy większymi miastami polskimi można przyjąć—300 klm. Natomiast jeśli się chciało ominąć Niemcy, linia powietrzna Praga—Morawska Ostrawa—Katowice—Częstochowa—Poznań była dwa razy dłuższa i wynosi tyle samo, ile wynosi linia powietrzna z Pragi do Kopenhagi, Verdun, czy Mediolanu. A przecież odległości wzdłuż dróg kołowych, czy linii kolejowych są jeszcze większe.

Dążyło się przed wojną do tego, aby Gdynia stała się portem czechosłowackim, ale przecież z Pragi do Gdyni z ominięciem Niemiec w linii powietrznej jest tyle samo co z Pragi do Dunkierki! Gdyby natomiast towar miał iść z Pragi do Gdyni przez terytorium niemieckie, to—pomijając już sprawę ceł i niedogodności komunikacyjnych—lepiej się kalkulowało wysłać go do Hamburga, ze względu na niższe koszty eksportowe, większe przystosowanie portu do potrzeb czechosłowackiego eksportu, no i ze względu na odległość; do Hamburga bowiem jest bliżej z Pragi niż do Gdyni—w linii powietrznej. To też przemysł śląski i morawski mógł z Gdyni właściwie korzystać tylko częściowo.

WNIOSKI

Budując więc na przyszłość porozumienie Polski i Czechosłowacji i chcąc, by było ono trwałe i miało jak największe możliwości dalszego rozwoju, należy—określając nową granicę z Niemcami—usunąć te wszystkie przeszkody, które spiętrzyły Niemcy w ciągu wieków z tą myślą, aby do porozumienia Polaków z Czechami nigdy nie doszło.

Oczywiście i tutaj można stosować program umiarkowany, minimalistyczny i daleko idący, maksymalistyczny. Minimalistyczny ograniczałby się do takiej granicy z Niemcami, któraby biegła na wschód od linii Praga-Poznań. Pozwoliłaby ona na przedłużenie granicy polsko-czechosłowackiej na zachodni skraj Karkonoszy. Taka granica z Niemcami skróciłaby znacznie także drogę z Pragi do Gdyni przez Poznań oraz dałaby Polsce cały Śląsk Górny i Dolny.

Rozwiązanie maksymalistyczne szłoby natomiast w kierunku uzyskania całej Odry, ponieważ Szczecin jest najbliższym portem dla całych Czech, Moraw i Śląska, a sama Odra—ważną arterią komunikacyjną; oraz w kierunku przyłączenia słowiańskich Łużyc Górnych i Dolnych, które ubezpieczają od zachodu w sposób naturalny linię Praga-Poznań.

Te osiągnięcia tak minimalistyczne, jak i maksymalistyczne można tym łatwiej zachować na stałe, że te ziemie są tylko powierzchownie zniemczone. Pokost germański jest silniejszy tylko w miastach, ośrodkach przemysłowych i okolicach o bardzo urodzajnej ziemi. Ogół ludności jednak—choć może mówi tylko po niemiecku—zachował w pełni świadomość swej słowiańskiej przeszłości. Na Łużycach żyje nawet wielu ludzi, którzy w ogóle języka niemieckiego nie znają. W każdym razie głównym elementem, żyjącym na tych ziemiach słowiańskich aż za Odrę, jest ludność słowiańska, powierzchownie ulegająca germanizacji.

Przesunięcie granicy na zachód pozwoli też na proste załatwienie sprawy Śląska Cieszyńskiego. Przestanie on bowiem żyć pod wrażeniem bezpośredniego nacisku niemieckiego, który rozporządzał tam większością kapitału, a stanie się wraz z całym Śląskiem ośrodkiem przemysłowym, pracującym spokojnie, zdala od granicy, dla wspólnego dobra Polski i Czechosłowacji.

Punkt ciężkości stosunków Polski i Czechosłowacji znajduje się więc na zachód od dotychczasowej granicy Polski i na północ od Czech, na tych ziemiach słowiańskich, zajętych przez Niemców, które po wojnie mają się stać pomostem łączącym bezpośrednio ziemie polską i czeską, które dadzą szeroki dostęp do morza Polsce i Czechosłowacji, umocnią istnienie obydwu państw i utrwalą ich wzajemne porozumienie.

Bez tych ziem porozumienie Polski i Czechosłowacji nie osiągnie w pełni swego celu, bo nie załamie ekspansji niemieckiej na wschód.

JAN MISZEWSKI

ECHO Z ROSJI

List Dowódcy Polskich Sił Zbrojnych w Z.S.R.R.

Żołnierze Armii Polskiej w Rosji dziękują Ci Panie Generale z głębi szczerych i oddanych Ci całkowicie serc za Twój pobyt wśród nas.

Podróż Twoja, Panie Generale, którą z narażeniem życia przeprowadziłeś, by wywalczyć dla nas prawa narodowe i żołnierskie, prawa bytu suwerennej armii polskiej na terenie Rosji i wolność dla naszych sióstr i braci, którzy nie znajdują miejsca w szeregach armii, będzie jedną z najpiękniejszych kart naszej historii.

My Polacy, których los rzucił na teren Rosji tego Ci nie zapomnimy a wierzymy głęboko, że nie zapomni tego czynu i Polska.

Panie Generale, jesteśmy częścią Polskich Sił Zbrojnych, walczących niemal na wszystkich frontach świata, pod Twoimi rozkazami. Podkreślam związanie z Tobą nie tylko dlatego, że Bóg dał nam Cię jako Wodza w najcięższej dla Ojczyzny naszej chwili, lecz przede wszystkim dlatego, że tak nam każą nasze proste serca żołnierskie, które wziąłeś na zawsze w swoje posiadanie.

Ślubujemy Ci, Panie Generale, że Armia Polska w Rosji, której dałeś prawo bytu i przywróciłeś jej to, co jest najdroższym dla żołnierza—to jest broń, wypełni swój obowiązek nie skąpiąc krwi dla świętego celu, jakim jest wolność i wielkość Ojczyzny.

Wśród nas Polaków w Rosji nie ma wyrodków, którzy by mogli nie uznawać wielkości Twoich czynów, Panie Generale.

Jesteśmy głęboko przekonani, że ci, którzy ulękli się współodpowiedzialności za historyczne Twoje decyzje, sami postawili się poza nawiasem pozytywnej pracy nad odbudową Polski.

ANDERS, Generał

Upust niemieckiej krwi

HITLER—NAJLEPSZY GENERAŁ . . . ALIANCKI

"Naszym najlepszym generałem—powiedział ostatnio pewien Anglik—nie jest Wavell, Auchinleck, czy Brooke. Naszym najlepszym generałem jest kapral Adolf Hitler."

Brzmi to paradoksalnie, ale zawiera w sobie dużo prawdy. Jeśli stwierdzić, że naczelnym zadaniem dowódców armii sprzymierzonych jest zniszczenie żywej siły Niemiec, to niewątpliwie nikt z nich nie przyczynił się do tego w tym stopniu, co Hitler.

Od chwili gdy Hitler zdecydował, być może wbrew swym wojskowym doradcom, zaatakować Rosję, popełniając—według słów premiera Churchilla — "jeden z największych błędów w historii," jesteśmy świadkami rzezi bezprzykładnej. Krew niemiecka leje się tak szerokim strumieniem, młodzież niemiecka ginie w takich ilościach, że fakt ten nie tylko zdaje się przesądzać o losach wojny, lecz ponadto musi zaważyć na historii Niemiec, Europy i świata na lat dziesiątki, a może na stulecia.

GRANICA UPUSTU KRWI

Historia uczy nas, że istnieje pewna granica dla upustu krwi, jaki naród może wytrzymać. Gdy się tę granicę przekroczy, narodowi grozi załamanie. Albo przegrywa wojnę, albo jeśli nawet dzięki pomocy innych sojuszników znajdzie się wśród zwycięzców, jego zwycięstwo będzie Pyrrhusowe i nieść będzie w sobie zarodki przyszłych klęsk.

Wojny napoleońskie w znacznej mierze wykończyły Francję, jako wielką potęgę światową. Napoleon przechwalał się wprawdzie, że "jedna noc w Paryżu" wyrówna z nadwyżką straty poniesione w najkrwawszej bitwie, lecz w rzeczywistości wykrwawienie się Francji w piętnastoletniej wojnie, a zwłaszcza tragiczny odwrót z pod Moskwy nie tylko doprowadziły do Waterloo, lecz ponadto sprawiły, że wiek XIX i XX przyniósł stopniowe słabnięcie wpływu Francji na politykę europejską.

Ponieważ pokój był podpisany w Wersalu, a Foch dowodził armiami sprzymierzonymi, żyliśmy w złudzeniu, że Francja wygrała wojnę światową. Dopiero w czerwcu 1940 uświadomiliśmy sobie, że rozgrywa się epilog klęski poniesionej przez Francję w wojnie światowej nr. 1. Żałosnym głosem skarżył się Pétain, że w roku 1940 Francja była sama jedna z 10 dywizjami brytyjskimi, podczas gdy w wojnie poprzedniej walczyło u jej boku ponad 70 dywizji brytyjskich, 40 amerykańskich, belgijskie, portugalskie nawet. Wielka Brytania, a potem St. Zjednoczone uratowały Francję od klęski. Niestety, "co się odwlecze, to nie uciecze." Klęska czerwcowa Francji była bezpośrednim następstwem przekroczenia w wojnie światowej granicy wytrzymałości narodu na upust krwi.

Francja poniosła w latach 1914-1918 większe straty, niż jakiekolwiek inne państwo. Niemcy stracili 2 miliony zabitych na ogólną liczbę 70 milionów mieszkańców. Francja z zaledwie 38 milionami mieszkańców straciła półtora miliona zabitych. Ten straszliwy upust krwi zrodził pacyfizm, kompleks linii Maginota, hasło "pokój za wszelką cenę." Gdy w 21 lat później wybuchła nowa wojna światowa, Francji nie starczyło sił ani fizycznych, ani moralnych, aby stawić czoło Niemcom. Francuzi czuli instynktownie, że nowe zwycięstwo na wzór roku 1918, jeśli byłoby okupione podobnymi stratami, ostatecznie oznaczałoby śmierć Francji, jako narodu. W nadziei uratowania egzystencji narodu, poszli na haniebną kapitulację.

Imperium brytyjskie, które z pośród 60 milionów ludności białej straciło około miliona zabitych, wyszło z wojny bardziej obronną ręką. I ono jednak straszliwą cenę zapłaciło za upust krwi w wojnie światowej. Słaba, nieudolna polityka, którą Wielka Brytania prowadziła między 1918 a 1939 rokiem, była przede wszystkim wynikiem tego, że poświęcenie elity młodzieży brytyjskiej w pierwszych dwu latach wojny /kiedy nie było poboru i ginął element ochotniczy, najbardziej wartościowy/ spowodowało lukę nie do zapełnienia. U władzy stali starcy, gdyż wybitnych ludzi w sile wieku niemal nie było.

U Niemców upust krwi działał na krótszą metę. Strata 2 milionów ludzi nie była dość wielka, aby uniemożliwić odrodzenie sił niemieckich, zwłaszcza, że była rozłożona na 4 lata i na bardzo wiele roczników. Jeśli jednak Alianci odnieśli zwycięstwo znacznie wcześniej, niż śmieli oczekiwać, jeżeli Niemcy załamały się już w 1918 roku, to w sposób decydujący przyczynił się do tego wielki upust krwi, spowodowany ofensywami Ludendorffa. Gdyby nie straszliwe straty poniesione w tej ofensywie — prawie 700.000 ludzi w ciągu 4 miesięcy— Niemcy byliby w stanie walczyć znacznie dłużej. Ale fizycznie i moralnie naród niemiecki nie wytrzymał. Ludendorff, typowy niemiecki "bóg wojny," nie liczący się z ekonomią krwi, okazał się może "najlepszym generałem alianckim" . . .

JAKIE STRATY PONIÓSŁ HITLER W LUDZIACH

Na tym tle nie trudno zrozumieć wagę tego, co się w tej chwili dzieje na froncie wschodnim. Oczywiście nie wiemy i nieprędko wiedzieć będziemy, jakie są naprawdę straty niemieckie. Wiemy, że Hitler kłamie na potęgę, gdy podaje swoje cyfry. Mamy też podstawę do przypuszczeń, że Rosjanie przesadzają, gdy mówią o 6 milionach zabitych, rannych i jenców niemieckich, gdy twierdzą, że już do tej pory Hitler poświęcił całe jedno pokolenie niemieckie. Jednakże już przed dwoma miesiącami obliczenia przeprowadzane na różne sposoby zgodnie wykazywały straty około miliona zabitych. Obserwatorzy amerykańscy ostatnio, po niecałych 6 miesiącach wojny, obliczali liczbę zabitych na 1,300,000 przy ogólnej liczbie strat ponad 4 miliony. Byłoby dziwne, gdyby obliczenia przeprowadzone przez różne czynniki i różnymi sposobami, a dające zgodny wynik, były dalekie od prawdy.

A przecież najcięższy okres dopiero się zaczyna. Teraz w zimie, każda niemal rana oznaczać będzie śmierć. I bez ran "generał Mróz," którego tak wykpiwano i chciano zdegradować na porucznika, podczas gdy może jeszcze zdołała zaawansować na marszałka— zdziesiątkuje armie niemieckie, podobnie, jak grożące zawszonym przedstawicielom "Herrenvolku" epidemie.

Straty na wschodzie przechodzą wszystko, co notowano w wojnie światowej, bo i skala walk jest większa, niż kiedykolwiek w historii. Wprawdzie nasilenie ognia artyleryjskiego jest może mniejsze w tej wojnie, niż w latach 1914-1918 i mniej jest ataków piechoty pod ogniem broni maszynowej, jednak z drugiej strony ilość wojsk w akcji jest bez porównania większa.

Warto przypomnieć, że w roku 1916, podczas słynnej ze szczególnie krwawych strat bitwy nad Sommą był tylko jeden dzień, gdy w akcji były jednocześnie 22 dywizje alianckie. Normalnie w akcji były 3-4 dywizje alianckie przeciw 2 niemieckim. Pod Verdun, gdzie w ciągu 4 miesięcy Niemcy stracili 334.000 ludzi, nigdy nie było w akcji więcej, niż 14 dywizji jednej i drugiej strony naraz, a pierwszy wielki atak przeprowadzony został przez 6 dywizji niemieckich przeciw 2-3 francuskim. Walki toczyły się na znacznie węższym froncie. Ofensywa Ludendorffa w marcu 1918 przeprowadzona była na froncie 40 mil. Jeśli chodzi o czas trwania, to wiosenna ofensywa Ludendorffa trwała 4 miesiące, ale były w niej przerwy, sięgające 4 tygodni.

Teraz ofensywa niemiecka na gigantycznym froncie trwała bez przerwy pięć i pół miesięcy. Jeśli zamierała na jednym odcinku, podejmowana była zaraz na innym. Nie wiemy oczywiście dokładnie ile dywizji było zaangażowanych w poszczególne dnie, ale jeśli zważyć, że np. w ostatniej ofensywie niemieckiej na Moskwę brało udział 51 dywizji i że prowadzona była ona jednocześnie na kilku odcinkach frontu 200 milowego, to można zakładać, że ilość wojsk w akcji była większa, niż w wojnie poprzedniej.

Wydaje się także, że gigantyczne straty niemieckie, poniesione w bardzo krótkim czasie kilku miesięcy, dotknęły szczególnie silnie stosunkowo wielką ilość młodych roczników. Bowiem Hitler wysłał do akcji przede wszystkim swe wyborowe oddziały szturmowe, swe dywizje pancerne i SS— jednym słowem kwiat młodzieży hitlerowskiej. Ta elita niemiecka została już nieco przetrzebiona w kampaniach dwu lat poprzednich. W Polsce i w Norwegii, w Holandii i Francji, w Afryce, na Krecie, w powietrzu i na morzu—straty niemieckie musiały i przed 2 czerwca iść w liczby sześciocyfrowe. Teraz nastąpiła hekatomba.

NASTĘPSTWA PONIESIONYCH STRAT

Bezpośrednim wynikiem rzezi młodzieży niemieckiej będzie postarzenie się armii niemieckiej. Co raz więcej będzie w niej ludzi 45 i 50 letnich, niemających entuzjazmu i wiary w Fuehrera, jakie cechują młodzież hitlerowską—ludzi którzy brali udział w wojnie 1914-1918, pamiętają, jak się skończyła i czują w kościach reumatyzm, nabyty w błotach Flandrii. Wpływ tych czynników na ducha armii niemieckiej musi być poważny.

Na dalszą metę straty Niemiec mogą okazać się jeszcze donioślejsze. Przed wojną Hitler, bodaj w rozmowie z Rauschningiem, wyznał, że gotów jest poświęcić nawet 2 miliony ludzi w decydującej rozprawie z wrogami Niemiec. Był przekonany, że za tę cenę uzyska panowanie nad światem. Prawdopodobnie uważał cyfrę 2 milionów za maksimum, na jakie stać naród niemiecki.

Teraz Hitler nie jest bardzo daleki od tej granicy 2 milionów, ale za tę cenę bynajmniej nie zbliżył się do rozstrzygnięcia. W najlepszym dlań wypadku, jeśli w ogóle jest w stanie zwyciężyć Rosję /co wydaje się co raz bardziej wątpliwe/ musiałby po zimie, która zdziesiątkuje jego armie, podjąć nową, napewno nie mniej krwawą ofensywę przez wiele miesięcy roku 1942. Zakładając wciąż ten najpomyślniejszy dlań wypadek, musiałby następnie podjąć inwazję W. Brytanii, lub wielką kampanię na Bliskim i Średnim Wschodzie, co znów spowodowałoby straty, idące w setki tysięcy. A są jeszcze St. Zjednoczone . . . Hitler grubo przekroczy swój krwawy preliminarz dwumilionowy—granicę wytrzymałości Niemiec—a rozstrzygnięcia i zwycięstwa nie osiągnie.

GRABARZ WŁASNEGO NARODU

Ta bezprzykładna masakra sfanatyzowanej młodzieży niemieckiej musi zaważyć bardzo poważnie na całej przyszłości kontynentu. Naród niemiecki może doznać takiego osłabienia, że nie będzie w stanie nawet marzyć o dawniejszej swej pozycji.

Pewien publicysta amerykański wystąpił niedawno z dość drastycznym projektem. Zaproponował on "rozwiązać" zagadnienie Niemiec przez . . . wyjałowienie narodu niemieckiego. 20.000 chirurgów miałoby dokonać sterylizacji wszystkich mężczyzn niemieckich. Zapewne nie przewidział, że niemal równie radykalnie rozwiązywać będzie zagadnienie największy w historii grabarz własnego narodu, a zarazem "najlepszy generał brytyjski"—Adolf Hitler.

ALEKSANDER BORAY

Szkic sytuacyjny

THE GRAND ALLIANCE

W Waszyngtonie 26 państw, znajdujących się w wojnie z krajami tzw. osi, podpisało oświadczenie, które mówi, że państwa te przyjmują zasady, wyłuszczone w deklaracji Roosevelt-Churchill z dnia 14-ego sierpnia 1941 /Karta Atlantycka/, obiecują sobie wszelką pomoc na czas wojny i nie zawrą odrębnego pokoju.

Zespół państw, które rzuciły wyzwanie krajom osi, zyskał sobie w prasie anglo-saskiej miano *The Grand Alliance*. Ten wielki sojusz, który ogarnia narody całej kuli ziemskiej, posiada nie tylko swoją wymowę ideową, ale przede wszystkim *olbrzymią doniosłość praktyczną*. Stany Zjednoczone, W. Brytania, Rosja Sowiecka, Chiny, Holandia—oraz 21 innych państw zespalają swoje wysiłki, ażeby wspólnie pokonać wroga i planować będą *wspólną akcję na przyszłość*.

Waszyngton staje się zatym *kwaterą główną nie tylko myśli politycznej, ale także i dyspozycji wojskowej*. Stany Zjednoczone zmieniają się z arsenału demokracji w ośrodek centralny, w samo sedno oporu sojuszniczego, mózg i serce sprawy sprzymierzeńców. Jest to przesunięcie bardzo ważne, z którego wszystkie narody sprzymierzone winny sobie zdać sprawę.

The grand strategy, wielka strategia, która będzie ustalana w Waszyngtonie, obejmie całość zagadnień wojny. Już dzisiaj odbywają się w Waszyngtonie ważne narady sztabowe. Odnoszą się one narazie do strefy Oceanu Spokojnego, jako najbardziej zagrożonej parciem japońskim, ale spodziewać się należy, że niebawem współpraca sztabowa anglo-amerykańska obejmie także *i inne dziedziny*.

Stoimy u progu nader ważnych wydarzeń, doniosłych zmian, które sprawiają, *że linia Londyn-Waszyngton* staje się najważniejszą linią świata.

WYPADKI NA PACYFIKU

Położenie na obszarze Oceanu Spokojnego nie przedstawia się dobrze. Atak japoński na Malaje czyni postępy, chociaż narazie nie ma mowy o bezpośrednim zagrożeniu Singapore. *Sarawak*, z bogatymi złożami ropy został oddany Japończykom, Indie Holenderskie są już w ogniu. Japończycy najwyraźniej chcą *osaczyć Singapore* przez szereg działań w jego pobliżu.

Na Filipinach wojska amerykańskie, przypuszczalnie nieliczne, cofają się dalej. Na razie nie widać pomocy ani odsieczy dla tamtejszych garnizonów amerykańskich. Flota Stanów Zjd. milczy, chociaż wydaje się, że będzie ona musiała przemówić lada dzień. Być może, że Stany Zjd. nie chcą ryzykować swoich jednostek bez odpowiedniej osłony samolotowej. Wydaje się jednak, że interwencja marynarki amerykańskiej w tej właśnie chwili byłaby nader wskazana.

Opinia amerykańska jest poruszona wypadkami na Dalekim Wschodzie. W Australii również poruszenie jest znaczne. Australia, jako kraj młody, ma mniej wytworne maniery w postępowaniu i dlatego głosy, dochodzące z Australii i skierowane pod adresem kierowników sił zbrojnych oraz dowódców brytyjskich na Dalekim Wschodzie, brzmią dosyć nieuprzejmie.

Najważniejsze pytanie streszcza się dzisiaj w tym oto: w jakiej mierze Sarawak zaspokoi *japoński głód ropy*, o ile zdołano zniszczyć szyby w Sarawaku?

FRONT WSCHODNI DALEJ POMYŚLNY DLA ROSJAN

Wojska sowieckie maszerują dalej na przód. Postępy w terenie są wolne. ale *stałe*. Kaługa została odbita, wydaje się, że wojska niemieckie wycofują się szybciej niż to same przewidywały, pozostawiając sporo sprzętu w rękach rosyjskich. W danej chwili wydaje się, że Hitler wycofał znaczne siły z frontu wschodniego. Potwierdzają to głosy prasy brytyjskiej i oceny poważnych tygodników londyńskich. Gdzie podziały się wojska niemieckie z frontu wschodniego?/ różne legie cudzoziemskie zostały posłane do domu już wcześniej, albowiem okazały się tylko kłopotem w czasie surowej zimy, szczególnie legia hiszpańska i oddziały włoskie/.

Time and Tide, doskonały tygodnik londyński przypuszcza, że wojska niemieckie zostały albo przerzucone na inne fronty, albo też posłane na odpoczynek do domu czy na wygodniejsze kwatery. Jeżeli przerzucono je na inny front, to na jaki? Czy istotnie do wiosny Hitler rzuci się na *Hiszpanię* i spróbuje zamknięcia Morza Śródziemnego od strony zachodu? Czy też raczej oczekiwać należy pchnięcia na *Turcję*?

"*Times*" sądzi, że opór sowiecki na Krymie, a potem niepowodzenia armij niemieckich na północy, zmieniły całkowicie "rozkład jazdy" Hitlera. Uderzenie na Kaukaz zawiodło: miało być ono wymierzone drogą morską przez lądowania w Batum, przy czym flota włoska przeszłaby przez Dardanele i połączyła się z jednostkami niemieckimi na Morzu Czarnym. Turcja miała otrzymać wezwanie do przepuszczenia wojsk niemieckich. W ten sposób Kaukaz wzięto by w dwa ognie.

Ten plan spalił na panewce. Niewiadomo, czy Hitler zechce próbować urzeczywistnienia swoich zamiarów w ciągu zimy, czy też raczej pokusi się na awanturę w basenie Morza Śródziemnego.

Wątpić należy, ażeby czekał aż do wiosny czy nawet do wstępu lata, kiedy zapowiedział podjęcie ofensywy na Rosję. Raczej sądzić należy, że do tego czasu wytrząśnie jakąś *nową niespodziankę;* gdzie i kiedy, jeszcze nie wiemy.

STRASZAK INWAZJI

Amerykanie wyciągają na nowo straszaka inwazji, pisma amerykańskie głoszą, że na wiosnę nastąpi uderzenie na Wyspy Brytyjskie. Gazety, wychodzące za Oceanem, przepowiadają wiosenny najazd na Anglię, dopatrując się w wyniesienu się Hitlera do władzy naczelnego wodza armii w polu, nieomylnego znaku, że Hitler "*pójdzie na całego*."

Nie wiemy, czy rachuby takie są słuszne, czy nie. Straszak inwazji pojawia się za każdym razem, kiedy na frontach robi się zastój. W danej chwili najazd na Anglię byłby robotą *wyjątkowo niewdzięczną*. Pogotowie wysp brytyjskich jest o wiele lepsze, aniżeli na wiosnę czy w jesieni ub. r., kiedy przebąkiwano o inwazji.

"COMMANDOS" DZIAŁAJĄ

Na razie Anglicy ćwiczą się w wypadach na kontynent, przyczym wybierają sobie ze szczególnym zamiłowaniem Norwegię, jako cel swoich wypadów. Akcje na pobrzeżu Norwegii prowadzą specjalne oddziały tzw. "Commandos," składające się z żołnierzy *zahartowanych i zaprawionych* doskonale w rzemiośle wojny.

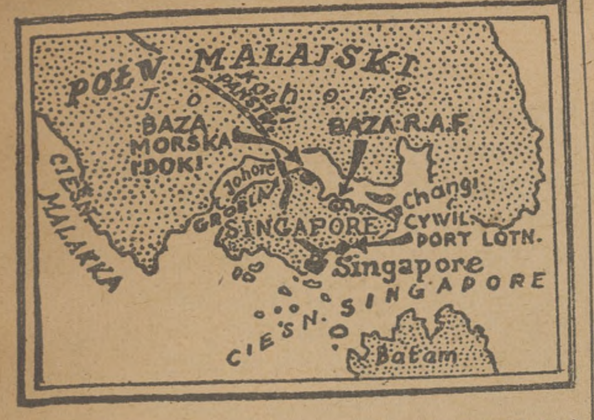
Nie można jeszcze dzisiaj mówić, że uderzenia "Commandos" są już wstępem do inwazji kontynentu, ale jasne jest, że akcje takie są nader *pożytecznym ćwiczeniem* i że siła "Commandos" rośnie. Garnizony niemieckie, niepokojone na pobrzeżu Norwegii, napewno nie mają wesołego życia. Klimat Północy działa rozstrajająco na żołnierza niemieckiego, nawet na te oddziały, które pochodzą z okolic górskich, gdzie panują ostre mrozy i śnieżne zimy. Uderzenia angielskie kierują się zatem w *najbardziej czułe posterunki armii niemieckiej*.

Wypady "Commandos" są godne uwagi, gdyż stanowią doskonały przykład współpracy *wszystkich trzech rodzajów broni*.

Londyn, 4 stycznia 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Singapore—Miasto Lwa



Posiadłości zamorskie Wielkiej Brytanii rozwijały się i powiększały najzupełniej przypadkowo. Gibraltar dostał się Koronie Brytyjskiej przypadkiem, Malta również, a już najbardziej Singapore. Po zakończeniu wojen napoleońskich, Niderlandy i Wielka Brytania rozgraniczyły swoje posiadłości kolonialne na Dalekim Wschodzie. Anglikom przypadły Indie wraz z Ceylonem, a Holendrom Archipelag Malajski, znany dzisiaj, jako Indie Holenderskie. W wykonaniu jednego z punktów ugody zamykającej stuletnią, nieprzebierającą w środkach walkę—Anglicy wynieśli się z Jawy.

Jednak między konstelacją wysp i wysepek pod holenderskim panowaniem a Indiami leżały olbrzymie obszary znane dzisiaj, jako Indochiny Francuskie, Siam, Burma, i państwa malajskie. Klimat tych stron był zabójczy i Kompania Wschodnio-Indyjska, generalny agent Wielkiej Brytanii na Wschodzie w tych czasach, bardzo niechętnie godziła się na wyprawy w te strony. Znalazł się jednak człowiek dosyć odważny i przedsiębiorczy, który potrafił pokonać opór dyrektorów Kompanii, niebezpieczeństwa klimatu i przewrotność rojowiska malajskich sułtanów i założyć podwaliny pod dzisiejszą brytyjską kolonię koronną Osiedli Cieśninnych */The Straits Settlements/*. Nazywał się on Sir Stamford Raffles. Osiedla te składają się z terytoriów podległych bezpośrednio Min. Kolonii oraz z t.zw. sfederowanych Państw Malajskich, mniejszych terytorialnie i rzadziej zaludnionych i z niesfederowanych sułtanatów Johore, Negri Sembilan i Perak.

Ale ani bogactwo tych terytoriów, ani nawet ich położenie strategiczne, w węźle szlaków komunikacyjnych pomiędzy Indiami, Europą i Afryką z jednej strony, a Chinami, Japonią, Archipelagiem Malajskim, Australią i Nową Zelandią z drugiej, nie są główną ich wartością. Zasadnicza doniosłość ich skupia się w małej wysepce o powierzchni 206 mil kw. położonej na samym cyplu półwyspu Malajskiego, naprzeciwko Johore, która nazywa się Singapore, co po malajsku znaczy "miasto lwa." Sir Stamford założył miasto wbrew, zdawało by się, rozsądkowi w głębokiej bambusowej dżungli, w najgorszym klimacie, jaki można było znaleźć na duszących, wilgotnych i pełnych bakterii Malajach. Prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy, jakie losy czekały nową osadę.

* * *

W połowie ubiegłego stulecia Singapore było jednym z bastionów morskich Imperium Brytyjskiego, ważnym wprawdzie i uzupełniającym łańcuch baz brytyjskich na morzach świata, ale jeszcze nie przypuszczano, iż stanie się ono podwaliną Imperium, w pewnym sensie ważniejszą od Gibraltaru. Tak długo, jak Japonia była zamurowanym od świata państwem barbarzyńców, a Stany Zjednoczone — państwem, które pochłaniał podbój dzikich pól i przystosowanie ich do uprawy i zabudowania—tak długo wyspy Archipelagu Malajskiego i angielskie posiadłości w tych stronach leżały na krańcu świata, były ostatnim przystankiem linii żeglugowych. Położenie ich zmieniło się w sposób zasadniczy w pierwszym dziesiątku obecnego stulecia.

Wpłynęły na to trzy czynniki: 1/ Japonia stała się mocarstwem światowym, nie tylko silnym, ale i pełnym zaborczych zamiarów; 2/ Stany Zjednoczone po zakończeniu podboju kontynentu północno-amerykańskiego wkroczyły na drogę zawrotnie szybkiego rozwoju politycznego i gospodarczego—przekopanie Kanału Panamskiego jest najbardziej namacalnym symbolem tego okresu—i wreszcie 3/ drobne osady na kontynencie Australii i Nowej Zelandii stały się milionowymi organizmami politycznymi i gospodarczymi, wobec których W. Brytania, jako metropolia, miała obowiązki ochrony i opieki.

Pierwsza wojna światowa nie unaoczniła doniosłości Singapore w pełnym stopniu. Japonia była aliantem państw sprzymierzonych, a niebezpieczeństwo niemieckie, poza pierwszymi miesiącami 1914 r., kiedy eskadra admirała von Spee i "Emden" topiły konwoje brytyjskie na Pacyfiku, w tych stronach nie istniało.

Jednym z użyteczniejszych organów Imperium Brytyjskiego, bardzo mało na ogół znanym i starannie unikającym reklamy, jest t.zw. Komitet Obrony Imperialnej. W skład jego wchodzą najwybitniejsi wojskowi wszystkich rodzajów broni i niektórzy politycy cywilni. Zadanie jego, w teorii ściśle doradcze, polega na opracowywaniu planów obrony Imperium jako całości. Jak wiadomo bowiem, sztaby generalne zarówno W. Brytanii, jak i poszczególnych Dominionów, są całkowicie od siebie uniezależnione i opracowują własne programy wojenne. Zadanie Komitetu, starannie zresztą przestrzegającego swego "półoficjalnego" charakteru, polegało też na poddawaniu im pewnych poglądów szerszych, potrzebnych dla Imperium jako całości. Singapore od pierwszej chwili stworzenia Komitetu, co nastąpiło na parę lat przed pierwszą wojną światową, było jednym z głównych przedmiotów jego zainteresowania.

Główną wartością bazy singaporskiej jest położenie geograficzne. Leży ona w idealnym punkcie przecięcia szlaków komunikacyjnych Oceanów Indyjskiego i Spokojnego. Cieśnina singaporska, przez którą musi przepływać każdy okręt, zdążający z Mórz Południowych na Bliski Wschód i do Europy, posiada zaledwo 25 mil szerokości i to na przestrzeni około 200 mil. Zachodnie dojścia do cieśniny bronione są poza tym przez grupę małych wysepek. Jasne jest, iż w podobnych warunkach obrona cieśniny jest niezmiernie ułatwiona. Pola minowe są chronione przez artylerię nadbrzeżną a naturalny układ terenu, pokrytego dżunglą, utrudnia w znacznym stopniu atak z powietrza. Nieprzyjacielskie łodzie podwodne również nie mogą zaatakować dojść do Singapore dzięki małym blokującym je wysepkom.

Budowę bazy rozpoczęto poważnie w 1913 r., kiedy oddano do użytku t.zw. King's Dock, największy z doków, na wschód od Suezu. Dopiero jednakże po wojnie 1914-1918 W. Brytania rozpoczęła rozbudowywać ją w stosunkowo szybkim tempie. Pozycja Singapore jest tak oczywista jako geograficzne centrum Imperium, iż Australia i Nowa Zelandia łożyły ogromne sumy pieniężne na wzmocnienie punktu, który ściśle rzecz biorąc jest zależny wyłącznie od metropolii. Praktyka parlamentarna Imperium Brytyjskiego wykazuje, iż tego rodzaju operacje są szczególnie niechętnie przyjmowane przez parlamenty dominialne. Jednakże zbiorniki ropy w Singapore, które pozwalają okrętom wojennym zaopatrywać się umożliwiają przepłynięcie bez zatrzymania się tak Pacyfiku, jak i Oceanu Indyjskiego—posiadają akurat taką samą doniosłość dla Londynu, jak dla Canberry i Wellingtonu.

Dwa rządy Labour Party W. Brytanii, które we wszystkich innych dziedzinach stosowały jak najdalej idące rozbrojenie, w sprawie Singapore były dziwnie zachowawcze. Za rządów Macdonalda przetransportowano dookoła Afryki do Singapore największy dok pływający świata. Dżunglę na wyspie wycinano, a raczej dostosowywano do potrzeb strategicznych. Powstawały co raz to nowe doki, baraki, zapewniające względny komfort europejskim wojskom tam przebywającym, stanowiska artylerii morskiej i przeciwlotniczej.

Garnizon Singapore, nawet w najbardziej pokojowych i pacyfistycznych czasach, był zawsze stosunkowo liczny i wynosił od 6,000 do 10,000 żołnierzy. Marynarka brytyjska posiadająca po konferencji waszyngtońskiej, ograniczającej zbrojenia morskie, zaledwie 15 okrętów liniowych, nie mogła trzymać na Dalekim Wschodzie pancerników. Fakt jednakże, iż port wojenny w Singapore przystosowany był do przyjęcia nawet największych jednostek marynarki brytyjskiej, pozwalał dowództwu wojsk brytyjskich na Malajach na spokój wobec istnienia 10 japońskich okrętów liniowych na wodach Dalekiego Wschodu.

* * *

Z okresu budowy tej najpotężniejszej chyba bazy morskiej świata datuje się następujące opowiadanie. Brytyjskie władze bezpieczeństwa stanęły wobec niezmiernie trudnej sprawy. Wśród dziesiątków tysięcy tubylców, zatrudnionych przy budowie, znajdowało się niewątpliwie wielu szpiegów japońskich, którzy donosili swoim przełożonym o najdrobniejszych szczegółach konstrukcyjnych. Nie można było jednak w miejscowym klimacie zatrudnić robotników europejskich. Wobec tego władze brytyjskie zdecydowały, iż pozostaje im tylko jedna droga: zbudować tak silne fortyfikacje, aby japońskie naczelne dowództwo w równej mierze uważało je za hamulec awanturniczych pomysłów, jakby niewątpliwie uważało za groźne dla siebie angażowanie się w awantury, nie mając żadnych danych o nowej twierdzy.

W jakim stopniu opowiadanie to jest prawdziwe niewiadomo. W każdym razie Japończycy z niezwykłą ostrożnością posuwają się na południe, a z całą pewnością nie jest to wynikiem obecności w Singapore starego monitora "Erebus," uzbrojonego w 2 działa 15-to calowe, który w spisach marynarek wojennych świata figurował zawsze, jako obrona bazy w Singapore.

Z chwilą przystąpienia Japonii do Osi i ogłoszenia niedwuznacznych zamiarów wobec Indii Holenderskich doniosłość Singapore okazała się w całej pełni. Tak długo, jak baza ta nie jest unieszkodliwiona w ten czy inny sposów Japonia nie może zaważyć na losach świata w sposób rozstrzygający.

Opanowanie przez Japonię bazy Camranh w Indochinach nie zmniejszyło w niczym doniosłości Singapore. Camranh leży bowiem zbyt daleko /około 1500 mil/, aby mogło stać się bazą wypadową potrzebną do zgromadzenia olbrzymiej armii morsko-lotniczo-lądowej. Zresztą jest rzeczą bardzo mało prawdopodobną, by Japończycy zdecydowali się na atak od czoła. Jest to pewnik wojny morskiej, iż okręty atakujące lądowe bazy muszą być w miażdżącej przewadze, jeśli chcą odnieść sukces. Lotnictwo o tyle nie wpłynęło na tę zasadę, o ile strona broniąca się posiada odpowiednie ilości myśliwców i lotnisk. Jak dalece Wielka Brytania zdaje sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa najlepiej może świadczyć fakt, iż znaczna część lotniczej produkcji amerykańskiej, w ramach ustawy o pomocy, z tychże samych powodów kierowana była do wybuchu wojny japońskiej bezpośrednio z Ameryki na Bliski Wschód.

Kampania lądowa przeciwko Singapore stanowi przedsięwzięcie niezmiernie trudne. Wyspa bowiem broniona jest zapleczem Półwyspu Malajskiego, pokrytym tropikalnymi lasami, gdzie prawie nie ma dróg. Zresztą liczne transporty wojsk brytyjskich wzmocniły garnizon lądowy. Ostatnio prasa doniosła, iż jest on 6-krotnie silniejszy od chwili wybuchu wojny. Wkroczenie Chińczyków do Burmy może zaszachować wojska japońskie idące ku Singapore od tyłu, przerwać okrążenie twierdzy—na razie jeszcze w dość dalekim promieniu—od strony lądu przez okupacje Indochin i Siamu.

* * *

Sir Stamford Raffles, przyglądający się z wyżyn marmurowego piedestału na zakurzonym placu 400 tysiącznemu miastu, które w roku 1819-ym było kawałkiem dżungli, może być dumny, iż dzieło jego życia Singapore tłumaczy się na inne języki "miasto lwa" nie tylko w przenośni, ale i dosłownie.

CZESŁAW JEŚMAN



Mapa Dalekiego Wschodu pokazująca kluczowe położenie twierdzy Singapore

Skrzynka pocztowa

TERMINOLOGIA POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH

W publikacjach rozmaitego rodzaju, najczęściej w prasie—popełnia się raz poraz przez nieświadomość zasadnicze błędy w nazwach określających całość lub niektóre z odrębnych i samodzielnych części składowych naszej siły zbrojnej.

Nazywa się je rozmaicie. Niezmienna jest jedynie nazwa: Marynarka Wojenna. Jednakże i w tym wypadku z treści słowa pisanego czy mówionego niejednokrotnie wynika, że w ramach użytego określenia "armia" lub "wojsko" pragnie się zmieścić nie tylko całość armii lądowej, lecz także i marynarkę wojenną.

A przecież nasza Ustawa Konstytucyjna, mówiąc o całości naszych sił zbrojnych, wyraźnie rozgranicza określenie "wojsko" od "marynarka." Ustawa "o powszechnym obowiązku służby wojskowej" (jedyna ustawa sejmowa a nie rozporządzenie z mocą ustawy) stwierdza wyraźnie, że: "Siła Zbrojna Państwa składa się z wojska i marynarki wojennej."

Obecnie do wojska i marynarki wojennej dochodzi jeszcze jedna, zupełnie wyodrębniona sposobem, terenem jak i zakresem działania część składowa naszych Sił Zbrojnych: lotnictwo.

Słusznie więc dziś całość naszych Sił Zbrojnych dzieli się w określeniach omawiających poszczególne części na: wojsko, lotnictwo (lub: siły powietrzne) i marynarkę wojenną.

Ze względu na często powtarzające się błędne określenia w tym względzie, należało by jednak ustalić terminologię raz na zawsze, by uniknąć nieporozumień. Nieporozumienia tę, zwłaszcza tutaj, na obcym terenie mogą wywołać niepożądane skutki. Oto np. podczas wyświetlania filmu propagandowego pt. "Jeszcze Polska nie zginęła" speaker—przed wyświetleniem kilku obrazków z życia naszej marynarki zapowiedział: "A teraz chluba naszej *armii*, marynarka wojenna." Gdyby przetłumaczyć to na angielski (co bodaj jest w projekcie) powstałby dziwoląg językowy. Wiemy dobrze, że w W. Brytanii "army" i "navy" są czymś zupełnie odrębnym i niezależnym, żaden więc z tych składników Sił Zbrojnych W. Brytanii nie może być chlubą drugiego.

Tak samo wymaga ustalenia wspólna nazwa dla całości: wojsko lądowe, lotnictwo i marynarka wojenna. Wyszukiwać, czy stwarzać tej nazwy nie trzeba. Jest przecież nawet niejednokrotnie w użyciu określenie Polska Siła Zbrojna czy Polskie Siły Zbrojne. Chodzi więc jedynie o ustalenie tej nazwy i nazw poszczególnych elementów składowych całości odpowiednim rozkazem.

K. Mora

WOJSKO I NAUKA

Nawiązując do artykułu w "Polsce Walczącej" z dnia 29.XI.41. (Nr. 48) pt.. "Karabin i książka," jako czytelnik tego tygodnika i obserwator pracy naukowej w oddziałach wojskowych, muszę potwierdzić, że da się odczuć już od października ub.r. silny ruch w dziedzinie nauki i oświaty we wszystkich oddziałach i rodzajach broni naszego wojska.

Chętnym do nauki żołnierzom, uczęszczającym na zorganizowane kursy maturalne i gimnazjalne w oddziałach oraz odkomenderowywanym do polskich średnich zakładów naukowych, śpieszy z pomocą tak w sprawach naukowych (skrypty, programy nauki) jak i finansowych—Urząd Oświaty i Spraw Szkolnych.

W Państwowym Liceum i Gimnazjum Męskim w Szkocji kształci się z pośród liczby uczniów tego zakładu przeszło 2/3 odkomenderowanych żołnierzy, z których w terminie wiosennym br. złożyło egzamin dojrzałości 27, a.w terminie zimowym zasiadło do matury 54 żołnierzy. Od stycznia 1942 przybędzie do tego zakładu nowych 65 żołnierzy, którzy w lipcu 1942 składać będą egzamin dojrzałości. Nadto w październiku br. przed Komisją Egzaminacyjną w tym zakładzie złożyło maturę 17 żołnierzy z jednego tylko oddziału.

Od połowy października br. uruchomił Urząd Oświaty osobny kurs gimnazjalny dla 33 odkomenderowanych żołnierzy, którzy w maju przyszłego roku składać będą egzamin z zakresu 4-letniego gimnazjum i będą mogli później studiować w liceum.

Poza tym Urząd Oświaty i Spraw Szkolnych opiekuje sie powstałymi w jesieni br. 2-ma wielkimi kursami wojskowymi, z których jeden liczy 65 uczniów (24 uczniów przerabia na nim kurs gimnazjalny, a 41 kurs licealny), a drugi — uruchomiony nieco później — 58 uczniów z kursu gimnazjalnego i licealnego. Oprócz tego w trzech innych jednostkach wojskowych istnieją kursy, na których kształci się ogółem 68 żołnierzy. Tak więc w armii lądowej pracuje 191 uczniów na kursach istniejących w obrębie poszczególnych oddziałów.

W jednostkach polskiego lotnictwa uruchomił Urząd Oświaty kursy gimnazjalne i licealne w 3 miejscowościach, w których na razie kształci się ogółem 80 naszych lotników.

Wśród uczniów Liceum i Gimnazjum Męskiego są również przedstawiciele polskiej marynarki.

Wszyscy uczniowie - żołnierze składają egzaminy dojrzałości przed Państwową Komisją Egzaminacyjną, organizowaną dla nich przez Urząd Oświaty przy Państw. Liceum i Gimnazjum Męskim.

Dodatnie wyniki w zakładach i kursach dla wojskowych osiągane są dzięki sumiennej, gorliwej i niezmordowanej pracy nauczycieli i wykładowców-żołnierzy.

W ogólnej sumie kształci się z pomocą lub za poparciem i staraniem Urzędu Oświaty i Spraw Szkolnych przeszło 384 żołnierzy, dawnych uczniów szkół średnich w Polsce.

Tadeusz Janicki

Ochotników odsyłamy do U.S.A.

(Korespondencja własna "Polski Walczącej" z Kanady)

Windsor w listopadzie 1941

Z punktu widzenia cywilnej geografii Windsor jest stutysięcznym, prowincjonalnym i granicznym miasteczkiem kanadyjskim, leży w stanie Ontario, nad rzeką Detroit, pośrodku wszystkich wielkich i małych jezior, które widać na mapie w tym miejscu, gdzie granica między Stanami Zjednoczonymi i Kanadą robi nagłe skoki z południa na północ i z północy na południe. Przez ową Detroit River sąsiaduje Windsor z Detroit, trzecim z rzędu co do wielkości miastem amerykańskim, siedzibą Forda i drugim z rzędu w Stanach Zjednoczonych skupiskiem Polaków, których jest tam coś trzysta tysięcy.

Sąsiadowaniu z Detroit zawdzięcza Windsor swój wybór na centrum naszej rekrutacji. Detroit jest nie tylko drugim miastem polskim w Ameryce Północnej, ale także bardzo wygodnym punktem dojazdowym na granicy Kanady ze wszystkich wschodnich i środkowych Stanów, zamieszkałych przez Polaków.

Pod rzeką dzielącą Kanadę od Stanów i Windsor od Detroit, jest tunel, którym odbywa się bardzo ożywiony, niczym nie krępowany dla obywateli kanadyjskich i amerykańskich ruch graniczny. Przez ten tunel przechodzą wszyscy nasi ochotnicy. W naszych oczach cały Windsor jest takim tunelem przystawionym od kanadyjskiej strony do U.S.A., tej olbrzymiej masy geograficznej, w której utopione są owe pięć milionów "*American-Polish.*"

To też windsorski garnizon jest nastawiony całkowicie na rolę "tunelu," otwierającego drogę i regulującego dopływ naszych nowych żołnierzy z poza tej jednej z najdłuższych na świecie granicy i nieraz z najbardziej oddalonych części kontynentu. W tej roli, z dwóch garnizonów polskich w Kanadzie, Windsor jest nieomal mniej garnizonem, niż węzłem komunikacyjnym. Aż dziw, że zachowały się jeszcze u nas tytuły dowódców, szefów i t.d., a że nie mamy na przykład kierowników i dyżurnych ruchu . . .

Decydujący jest "wielki" ruch —ruch "dalekobieżny" ochotników, którzy przyjeżdżają ze Stanów i jadą jako rekruci do obozu w Owen Sound i ewentualnie dalej —do Anglii. Pod tym ruchem dalekobieżnym kryje się cały system ruchów "lokalnych," stanowiących prawdziwy system nerwowy naszego życia garnizonowego.

Kiedy ochotnik z U.S.A. przekracza granicę i jest w rękach inspektorów immigracyjnych u wylotu tunelu, nasz "Ośrodek Rekrutacyjny" dostaje telefon: "*We've got three recruits for you*" . . . albo: "*four*" . . . albo: "*five*" . . . albo "*ten*" . . . albo czasami: "*one*" . . . Wtedy rusza jeden z wozów naszej kolumny samochodowej, nadjeżdża pod przybytek *Immigration* i zabiera ochotników do Ośrodka. Jest to zwykle pora obiadowa, bo pożegnanie życia cywilnego, które odbywa się w poprzedzającą noc w Detroit, zatrzymuje rano zbyt długo w ostatnim cywilnym i amerykańskim łóżku po tamtej stronie rzeki. W Ośrodku, który oprócz swej roli tytularnej spełnia rolę t.zw. "hotelu"—czemu za chwilę zostanie poświęcony specjalny "przystanek" w tym opowiadaniu—zostaje tylko walizka, a nowy ochotnik siada na powrót do samochodu i jedzie na obiad do Koszar Kompanii Kadrowej.

Po obiedzie, przy którym wiele ubrań cywilnych wmieszanych jest między mundury żołnierzy z plutonu honorowego, plutonu gospodarczego, kolumny samochodowej, orkiestry wojskowej, funkcyjnych Dowództwa i t.d., poranna partia ochotników wraca do Ośrodka, żeby po oddaniu dokumentów, wypełnieniu aplikacji i t.d., w stanie powiększonym o nowy kontyngent, zameldowany z tunelu popołudniu, odbyć jeszcze raz drogę do Koszar. Po kolacji, Ośrodek zapełnia się z powrotem. Jest to chwila, kiedy najciekawszym miejscem w Windsorze staje się właśnie "hotel."

Na "hotel" składa się jedenaście piętrowych, wojskowych łóżek, okraszonych materacami i poduszkami koloru khaki, szarymi kocami i codziennie zmienianymi białymi poszewkami. Na tych łóżkach ochotnicy spędzają swoją pierwszą pół-cywilną, pół-rekrucką noc. Na drugi dzień większość przenosi się do Koszar Kompanii, niektórzy — nieprzyjęci, wracają do Stanów.

Jedenasto-łóżkowa sypialnia w Ośrodku jest więc niewątpliwie hotelem. Nazwa ta znalazła prawo obywatelstwa w języku wojskowym i nikt sypialni ochotników inaczej nie nazywa. Komendant sali otrzymał tytuł "dyrektora hotelu."

Hotel jest miejscem, w którym żywiołowo i niezawodnie wyjawiają się wszystkie tajemnice i "kulisy" naszego "ruchu dalekobieżnego," tej "jazdy przez tunel" ze spokojnej Ameryki do wojska w Kanadzie. Wystarczy przysiąść na którymś ewentualnie niezajętym tej nocy łóżku, żeby się dowiedzieć, dlaczego są ochotnikami? poco przyjeżdżają? czym jest wojna w Europie dla ludzi z U.S.A.? Niezależnie od tego czy na półkach przeznaczonych na rzeczy "gości hotelowych" leżą piękne walizki z grubej żółtej skóry, czy tylko tanie drewniane "bags," pomalowane w charakterystyczne ciemne pasy na szarym albo kremowym tle, czy na wieszakach wiszą zielone albo brązowe skórzane wiatrówki, noszone przez młodych chłopców, czy są to zwykłe ubrania ludzi poważnych, czy jasne kapelusze z południa z Texas, Kalifornii, Virginii i t.d. sąsiadujące z doświadczonymi w deszczach, szarymi lub granatowymi filcami noszonymi w miastach—z nad khaki materaców wychylają się głowy wsparte na łokciach i z górnych łóżek na dolne, od sąsiada do sąsiada, z jednego kąta sali w drugi mijają się, przelatują, krzyżują pytania i odpowiedzi. Życie w cywilu, *job*, rodzina, wojna, Hitler, Ameryka, Polska, lotnictwo, wojsko. I znowu —*job*, *girl*, samolot, tank, Hitler, demokracja, Polska. Wyjazd do Anglii, Rosja, przyszła wiosna. *Job*, rodzina, po wojnie . . . Polacy w Stanach, młodzież, dlaczego nie wszyscy idą? co się zmieni?

Rozmawia polski górnik z Pensylvanii z uczniem *college'u*, młodym Amerykaninem, pochodzenia angielskiego, spawacz z Detroit członek Związku Narodowego Polskiego z absolwentem amerykańskiej szkoły lotniczej *Sky Eagles*, rozwoziciel mleka z Chicago i członek "Sokoła" z weteranem Armii Hallera, *cow-boy* z Texas, który czytał o polskich lotnikach w Anglii z marynarzem, który zwolnił się ze służby na okręcie pływającym pod flagą panamską i znowu—ślusarz z Milwaukee z piekarzem z Cleveland i t.d., i t.d. . . .

Na drugi dzień rano węzeł komunikacyjny zaczyna działać na nowo. Służbowy Ośrodka zapowiada: "Do Koszar Kompanii, cywile na śniadanie, odjazd!" Służbowy Koszar odzywa się w kilka minut później: "Do *City Hall* i Kwatery Głównej, odjazd!" /*City Hall* czyli *East City Hall* to jest właśnie Ośrodek, dawny ratusz autonomicznej municypalności wschodniego Windsoru. Kwatera Główna to jest Dowództwo, zajmujące wielki dom, obrośnięty winem, w parku, nad rzeką, tak jak Ośrodek, ale jeszcze dalej od miasta/.

I ruch rozpoczyna się na dobre. Ochotnicy po śniadaniu do Ośrodka na Komisję, ochotnicy na obiad, ochotnicy po umundurowanie. W międzyczasie do tunelu po nowych. Kandydaci na lotników mają dodatkowe jazdy na specjalne komisje lotnicze, które odbywają się w lokalach kanadyjskiego R.A.F.'u. Węzeł komunikacyjny wre życiem.

W tym wożeniu ochotników można doszukać się przypadkowego symbolu zainteresowania i uwagi, jaką otoczeni są wszyscy pasażerowie "dalekobieżnego ruchu." Sprawa ochotników jest u nas naturalnie przede wszystkim. Jest to nasz windsorski front i wszystko co się na nim dzieje, nowe "kampanie," nowe plany, nowe "ofensywy" są przyjmowane tak, jak gdzie indziej przyjmowane są nowości z prawdziwego frontu. Garnizon ma określone sądy o zagadnieniu rekrutacji. Dyskutowane są różne teorie i zasady. Istnieje naturalnie cały repertuar powiedzeń i dowcipów, które wyrażają nastrój, jaki otacza te sprawy.

Nic dziwnego, że "front ochotniczy" zajmuje Dowództwo, Referat Oświaty, który przeprowadza propagandę werbunkową, wszystkie instancje organizacji rekrutacyjnej, instruktorów, którzy przyjechali z Anglii, po to, żeby wrócić z ochotnikami. Ale nawet ci rekruci, którzy poprzedniego dnia przekroczyli tunel, spali w "hotelu" i od dwudziestu czterech godzin dopiero obnoszą orzełki na furażerce i guzikach, "*Poland'y*" na rękawach, wczuwają się od razu w atmosferę "werbunkową," tak samo, jak my mówią o przyszłych ochotnikach, o propagandzie, jak trzeba, jak jest źle i t.d., i t.d.

Akcja werbunkowa nie może mieć oczywiście żadnych stałych granic i zapas środków, którymi można się posługiwać, musi być zawsze otwarty. Dlatego idzie o to, żeby każdy czuł się do niej wciągnięty. Niemal dosłownie—kto przechodzi tunel i wkłada mundur, musi odwrócić się w tamtą stronę i myśleć, jak mają przyjść za nim inni.

I ci, którzy nie są w Kompanii Kadrowej, ale w obozie w Owen Sound, gdzie od wielu miesięcy odbywa się normalne szkolenie strzeleckie i broni pancernej wracają na "front ochotniczy." Nawet lotnicy, tworzący tymczasem przed wyjazdem do Anglii, szkolną kompanię lotniczą wracają do Windsoru, przechodzą w Dowództwie krótki kurs uświadamiający o środkach propagandy, żeby przed wyjazdem za ocean zdobyć tu jeszcze swoich następców.

Godnym podkreślenia jest przekonanie i zapał wkładane przez amerykańskich ochotników w tę akcję wzajemnego "zwoływania się." Najskromniejsze zadania nabierają szczególnego sensu. Członkowie Chóru Kompanii Kadrowej, który śpiewa w audycjach żołnierskich, nagrywanych tu na płyty i transmitowanych potem we wszystkich miastach północnych i wschodnich Stanów zamieszkałych przez Polaków, wiedzą, że słyszeć ich będą koledzy, ci—z "za kilka dni," albo "za kilka tygodni."

Nawet ci, co pomagają w ekspedycji tysięcy broszur, ulotek, prospektów, afiszów, kalendarzy propagandowych i t.d. czują się na pełnym froncie ochotniczym. My wysyłamy wszystko według list, rozdzielników, im wydaje się, że wysyłają te paczki i druki wprost do swoich kolegów, znajomych w miastach, w których chodzili do szkoły, pracowali, mieli posady i że choćby za każde dziesięć paczek z broszurami przybędzie jeden "nowy" . . .

Ale najważniejsze jest to, że wreszcie i oni sami są wysyłani i to co raz częściej. Ochotników odsyłamy do U.S.A. . . . W neutralnych i izolacjonistycznych Stanach Zjednoczonych nie mamy biur rekrutacyjnych, ani plakatów, nawołujących do wstąpienia do Armii Polskiej, ani megafonów, ani wieców werbunkowych, ale za to mamy w tych samych miastach, z których przyjeżdżają goście do "hotelu," w Detroit, w Milwaukee, w Toledo, w Cleveland, w Philadelphii, w Springfield, w New York, w Bostonie, w Pittsburghu i t.d., i t.d. chłopców z "Polandami" na rękawach, z orzełkami i pomarańczowo-czarnymi trójkątami broni pancernej na kołnierzach, albo lotniczymi orłami na furażerkach.

Dostajemy od nich listy—raporty. "Wszyscy patrzą się na mój mundur i interesują się wojskiem polskim. Nie tylko Polacy, ale i Amerykanie. Pytają ilu nas jest? gdzie Polacy walczą? Czy obywatele U.S.A. mogą sie zapisywać?" "Stanowczo jeszcze za rzadko widuje się mundury polskie na ulicach miast amerykańskich. Wywołują one prawdziwy zachwyt u tych, którzy widzą część Polski walczącej." "Jestem pewny, że nic nie robi takiej propagandy, jak żołnierz polski w mundurze. Dlatego, że to już jest realna rzecz, coś konkretnego, a nie tylko Armia, o której się tylko czyta."

Miasta po których paradują teraz polskie mundury, leżały na drodze objazdu generała Ducha po Stanach. Akcja rozsyłania żołnierzy jest uzupełnieniem tego objazdu, który zrobił wszędzie na Polonii głębokie wrażenie. Postać generała Ducha, o którym wiedziano, że był jednym z wybitniejszych Dowódców w tej wojnie, w czasie kampanii w Polsce i we Francji, stała się dzięki osobistemu kontaktowi, nawiązanemu ze społeczeństwem polsko-amerykańskim symbolem zbliżenia się tego społeczeństwa do Armii. Wypełnieniem ram zapału i kredytu moralnego, które stworzył objazd Generała, jest bezpośrednia akcja wojskowo-werbunkowa, a w tej chwili właśnie akcja propagandowego rozsyłania żołnierzy.

Wyjeżdżać mogą tylko obywatele amerykańscy, bo dla innych są ciągle jeszcze nieprzezwyciężone trudności z wizami. Dowództwo udziela miesięcznych urlopów, które są naturalnie przedłużane, o ile robota idzie dobrze. Chłopcy są wysyłani przeważnie do miast z których pochodzą, albo tam gdzie pracowali, gdzie mają łatwy dostęp do ludzi. Poszczególne partie przychodzą na kilka dni po "instrukcje" do Dowództwa. Zaczynają od lektury o kampaniach w Polsce, we Francji, w Norwegii, o lotnictwie, o marynarce, o Brygadzie Karpackiej, walczącej w Libii, wreszcie o wojsku w Rosji. Podsuwa się im możliwie zwięzłe i sugestywne sformułowania odpowiedzi na pytania o udziale Polski w wojnie. Odpowiedzi te muszą narzucić rozmówcom w sposób definitywny przekonanie o wadze tego udziału i o wyłączności stanowiska Polski.

Następnie daje się im w ręce dotychczas dostępne materialne środki propagandy: druki, radio, fotografie. Zabierają ze sobą wydawnictwa, mają prawo pisać i telegrafować o każdą ilość, którą potrafią umieścić w terenie. Dostają fotografie, komplety ilustrujące wszystko, co jest pociągające i imponujące w życiu wojskowym. Trzeba zarysować w pamięci pewne stwierdzenia, stworzyć zespół wyobrażeń, które utrwalają przekonanie o wyjątkowej atrakcyjności wojska polskiego. Doświadczenie wojenne, postawa wobec nieprzyjaciela, skuteczność działań /lotnictwo!/, młodość, wyszkolenie, sprzęt przygotowany w Ameryce /*Lend and Lease Bill*/. Trzeba podkreślać momenty ogólne, związek sprawy i walki, którą toczy Polska z sytuacją Ameryki. Oświadczenie Roosevelta /"Armia Rządu Polskiego jest ważnym czynnikiem w obronie Stanów Zjednoczonych"/, obrona Demokracji, wspólne zwycięstwo, otwarta przyszłość, uwolnienie Europy i Polski dla nowego lepszego życia.

Referenci poszczególnych działów pouczają wyjeżdżających, jak operować konkretnymi materiałami i efektami. Wskazówki techniczne, jak nawiązywać kontakty z prasą i organizacjami. Osobny dział stanowi radio. Muzyka, piosenki, recytacje, humor żołnierski wprowadzają momenty atrakcyjności życia wojskowego, umożliwiają poruszenie strun romantyzmu i awanturniczości i wywołanie szczególnych wzruszeń, prowadzących do decyzji zamienienia życia cywilnego na los żołnierski. Opowiadania uczestników kampanii o bezpośrednich przeżyciach i doświadczeniach zapoznają młodych Amerykanów z żywą, najmłodszą, najbardziej przekonywującą tradycją wojenną wojska polskiego.

Rozdzielane są także płyty z przemówieniami i wywiadami Generała Ducha. Wszyscy wyjeżdżający mają wgląd do inwentarza nagranych płyt, dowiadują się o dotychczasowej współpracy z radiostacjami na terenie Stanów, a przede wszystkim w mieście, do którego jadą i dostają proste wskazówki, co zrobić, żeby Polacy amerykańscy jak najwięcej i jak najczęściej słyszeli, za pośrednictwem radio-odbiorników, swoich żołnierzy z Kanady. Każdy wyjeżdżający zabiera ze sobą jedną albo kilka płyt i—jak zawsze—polecenie przysyłania jak najczęstszych zamówień na nowe.

Oprócz tego dostaje do rozpowszechnienia wybór sloganów, z których kilka warto zacytować: "Pamiętaj! Każdy dzień zwłoki opóźnia chwilę zwycięstwa. W Kanadzie tworzą się polskie siły zbrojne." "Weź zbrojny udział, w wyzwoleniu Polski! W Kanadzie tworzą się . . ." "Idź z odsieczą Polsce Walczącej! W Kanadzie tworzą się . . ." "Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy! W Kanadzie tworzą się . . ."

Wreszcie każdy musi być wprowadzony osobiście. Po przyjeździe do miasta, w którym ma spędzić "urlop" będzie oczywiście zapytywany przez reporterów i fotografowany przez miejscową prasę, przynajmniej polską. Żeby uniknąć złych fotografii i złych wywiadów, każdy dostaje nie tylko swoją fotografię, przy której pamięta się o efekcie orzełka i rogatywki, mających w Ameryce zupełnie specjalne powodzenie, ale od razu matrycę tej fotografii gotową do odbijania i po dwa teksty wywiadów.

Wywiady te mają specjalne znaczenie, bo właściwe przedstawienie szczegółów życia osobistego każdego z wyjeżdżających chłopców i jego osobistego stosunku do wojska, rozstrzygać będzie o osobistym stosunku do całej sprawy tych, do których akcja jest skierowana. Następują tu proste porównania: "on też miał taki *job* jak ja, chodził do szkoły, w której ja miałem kolegów i zna te same dziewczęta, a teraz jeździ w tanku, wygląda tak, jak żołnierze na tej fotografii, bawi się z kolegami tak, jak w tej wczorajszej audycji radiowej i będzie miał takie przygody, jak w tym opowiadaniu majora, który był w Norwegii, to i mnie tam będzie dobrze, to właściwie ciekawsze, niż to życie tutaj i można będzie z wojskiem wrócić do Polski, o której ojciec i matka tyle opowiadają i w Ameryce będzie się inaczej traktowanym . . ."

Kiedy ochotnicy, których odsyłamy do U.S.A. w nowych mundurach i przede wszystkim w najważniejszych, arcyważnych rogatywkach, wyjeżdżają, są dokładnie zaopatrzeni we wszystko co trzeba pokazać młodzieży polsko-amerykańskiej, a sami wywożą świeże wrażenia z życia obozowego, z ćwiczeń, z nauki, ze współżycia z kolegami—żywą fotografię życia wojskowego.

Nasze "konie trojańskie," które wprawdzie żadnej zdrady w sobie nie kryją, ale za to mają p o t r o i ć i to po kilka razy naszą armię, są wprowadzane do "obleganych" przez nas z za granicy kanadyjskiej Stanów Zjednoczonych, a w każdym razie do obleganej przez nas Polonii Amerykańskiej. W Dowództwie wiszą kartony z naklejonymi fotografiami wysłanników, ich nazwiskami i nazwami miast. Zastępuje to w tej kampanii "trojańskich koni" mapy z chorągiewkami i z czerwonymi liniami. Pamiętamy, gdzie który jest. Zaczynamy dowiadywać się co się z nimi dzieje. Pojawiają się wywiady. Wreszcie przyjeżdżają ochotnicy, pierwsi z "trojących się."

Dowiadujemy się, że jeden z chłopców na zebraniu jakiejś miejscowej organizacji wygłosił tak gorące przemówienie, że wprost z zebrania wyjechała do Windsoru cała grupa ochotników. Innych dwóch, z których jeden jest ośmnasto-letnim Amerykaninem, pochodzenia anglo-saskiego, wymyśliło własny "system"; bardzo są z niego dumni i chwalą się Dowództwu w listach . . .

A mianowicie, grasują po wszystkich zabawach tanecznych i zebraniach młodzieży w swoim mieście i podpowiadają pannom, co mają mówić chłopcom o wojsku i żołnierzach . . . I chłopcy wyjeżdżają do Windsoru. Skądinąd wyjeżdża kilku, żeby tylko wyglądać tak, "jak ci żołnierze, którzy przyjechali do nas na urlopy, żeby wyjechać z nimi do Anglii, a potem do Polski." Amerykanie nie polskiego pochodzenia mówią, że podoba się im wojsko polskie, sądząc po tych wesołych chłopcach, którzy przyjeżdżają do nich. "Spróbujemy jak będzie z wami . . ."

A sami wysłannicy przysyłają entuzjastyczne listy. Są dumni z wojska, do którego należą, z mundurów, ze siebie, że mają ten wyjątkowy przywilej osobistego udziału w powiększaniu wyprawy polsko-amerykańskiej, w obronie wspólnoty demokratycznej krajów cywilizowanych. Są dumni ze swojej wyjątkowej roli w Ameryce, stojącej na progu decyzji wojennej i są szczęśliwi, że mogą tak występować w swoich rodzinnych miastach, wobec swoich rodziców i krewnych, kolegów i przyjaciół.

Ciągle więc odsyłamy ochotników z Windsoru do U.S.A. i za to nasz "węzeł komunikacyjny" będzie miał co raz więcej roboty i rozmowy w "hotelu" będą co raz ciekawsze.

JAN ADAMOWSKI

Wśród żołnierzy Brygady Karpackiej

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



U wejścia na Oficerską Stację Zborną



Gen. Sikorski po zwiedzeniu baraku-namiotu

"Gdzieś na pustyni"
w grudniu 1941 r.

Naczelny Wódz przyjeżdża . . . poszła wieść po obozach. Rozdźwięczały się druty, lecą telefonogramy. Padają szybkie rozkazy, chwytane gorączkowo i gorączkowo wykonywane.

Jest późna noc. W namiotach, choć wszyscy udali się na spoczynek, jeszcze nikt nie śpi. Emocja ogarnia żołnierzą, przecież przyjeżdża ktoś, kto jest symbolem dalekiego Kraju. Cieszy się tym i niepokoi. Cieszy, bo długo oczekiwało serce żołnierza-tułacza na tę chwilę bezpośredniego zetknięcia; niepokoi się zaś, bo chciałoby, aby to wszystko wypadło najskładniej i najlepiej.

Napominaniom i pouczeniom zda się nie będzie końca. Pogasły już nawet przysłonięte światła u dowódców, lecz oczy otwarte długo jeszcze patrzą poprzez odchylone płachty namiotu w jasne gwiazdy, zawieszone nad pustynią, jakby tam szukały odpowiedzi, co przyniesie jutro.

Rankiem pobudka wcześniej niż zwykle, szybkie jakieś mycie, golenie się i zbiórki. Wreszcie około 10-ej z rana poważnym krokiem idzie kompania za kompanią na plac ogólnej zbiórki. "Gdzieś w pustyni" stanęły do apelu przed Naczelnym Wodzem kompanie Legii Oficerskiej.

Wszystko, jak dawniej. Ta sama, jak codzień, złoto-brązowa płaszczyzna, co, zdaje się, bez końca gdzieś biegnie i rozpościera się bez horyzontu. Te same namioty, lecz dziś to wszystko wygląda inaczej, uroczyściej. Życie nabiera większego sensu—żołnierz przez wizytę Naczelnego Wodza odczuwa, że nie jest zapomniany, że należy do jednej walczącej rodziny.

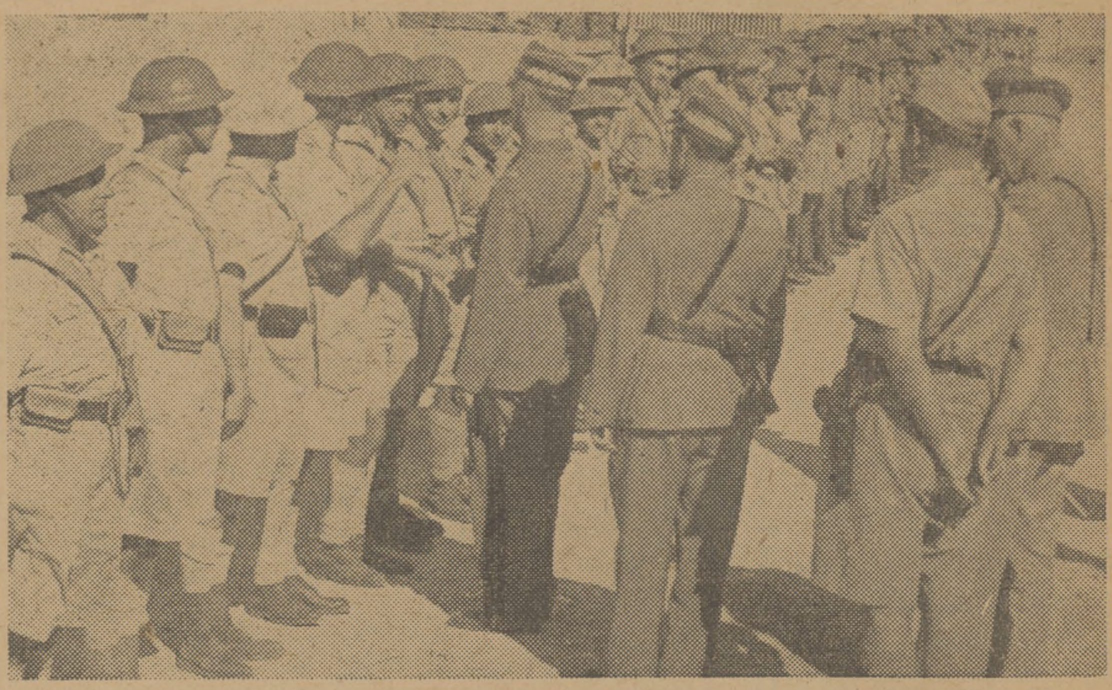
Krótkie słowa komendy. Poczet sztandarowy. Raport. Na "Spocznij!" nieco rozluźniają się szeregi, tu i ówdzie ciche rozmowy. Przed frontem Dowódca z szefem sztabu robią ostatni przegląd — poprawiają, wygładzają. Próbna defilada w takt marszu, granego przez orkiestrę angielską. Potym znowu powrót do miejsca raportu i oczekiwanie. Minuty wloką się leniwie, jest już prawie godzina jedenasta . . .

Na horyzoncie jakiś kurz. Słychać brzęczenie motorów . . . Już jadą—poszedł szmer po szeregach. Nie—to jakieś australijskie ciężarówki. Fałszywy alarm. Powtarza się to jeszcze kilkakrotnie, zaczyna się już stan trochę denerwujący, gdy wreszcie kilka wozów wojskowych zatrzymuje się obok na drodze. Z pierwszego wysiada Naczelny Wódz.

Pada słowo "baczność". Orkiestra gra "Jeszcze Polska nie zginęła". Mimo woli myśl biegnie tam daleko do kraju — chciałoby się to wszystko, co oczy widzą przekazać. W tej chwili czuje się, że . . . "nie zginęła i zginąć nie może".

Zastępca Dowódcy L.O. nieco przyciszonym ze wzruszenia, lecz uroczystym głosem składa raport. Naczelny Wódz dziękuje. Odsalutowuje sztandar. Przechodzi przed frontem Legii. Patrzy prosto w twarze oficerów-szeregowych. Zagląda w oczy, zdaje się wyczytywać myśl, co ich tam przywiodła przez wiele krajów i trudów. Ma ściągniętą twarz, oczy jednak robią się co raz łagodniejsze — widocznie znalazł w tych twarzach to, czego szukał.

Komenda "w czworobok". Szybko i sprawnie robi się mocny kwadrat wokół Naczelnego Wodza i grupy towarzyszących oficerów. Na komendę szeregi kamienieją. Zastępca Dowódcy odczytuje Rozkaz Naczelnego Wodza do całości Wojsk Polskich. Następnie gen. Sikorski przemawia, podkreślając znaczenie polskiego czynu zbrojnego. Oddaje cześć dzielnej postawie całego Narodu, który nie poszedł na żadne kompromisy z wrogiem. Określa przyszłe zadania Wojska Polskiego. Zachęca do wytrwania i wiary w Polskę. Wygramy tę wojnę—stwierdza z mocą Naczelny Wódz—wygramy i pokój i nie powtórzy się rok 1939.



Baon ćwiczebny Ośrodka Zapasowego



Gen. Sikorski w towarzystwie zastępcy dowódcy Legii Oficerskiej

Przemówienie kończy okrzykiem na cześć Najjaśniejszej Rzplitej, Pana Prezydenta Rzplitej oraz sojuszniczki Anglii. Legia mocno trzykrotnie wiwatuje. Orkiestra gra angielski hymn narodowy.

Następnie Generał przeszedł do rozmów bezpośrednich z oficerami Legii. Na jego życzenie Zastępca Dowódcy L.O. przedstawia oficerów, którzy uciekli z niewoli niemieckiej.

Po chwili swobodny nastrój się przerywa. Odradzają się szeregi. Defilada. Wódz na trybunie. Z chrzęstem mocnego kroku idzie Legia. Ubrani w jednakowy nowy strój, w hełmach stalowych, prezentują się pięknie. Krok równy, nieprzesadnie mocny. Twarze skupione. Wzrok zwrócony na oczy Wodza. Co raz silniej dudni ziemia egipska od twardego kroku.

Przeszli. Pozostało wspaniałe wrażenie i chrzęst deptanego mocną stopą żwiru. Patrzysz, a myślisz, że odgłos tych kroków, to jak drzemiące echa. Co raz silniejsze i co raz ich więcej . . . wciąż idą, a idą . . . by wreszcie dopaść, dać odpowiedź—za krew tysięcy, za wszystką podłość i wszystkie hańby.

Wódz już odjeżdża. Godz. 12—czekają inni, następni. Nastrój podobny, podobne oczekiwania. Wreszcie przybywa. Dowódca składa raport. Odczytanie Rozkazu Naczelnego Wodza i mimo braku czasu kilka słów ciepłych do żołnierzy.

Długa być może jeszcze nasza droga — mówi Generał — lecz wytrwać trzeba, bo każdy krok i każdy cios zadany wrogowi zbliża nas do celu i do Kraju.

Samorzutnie wznoszą trzykrotne okrzyki. Wódz daje znowu wyraz swego zainteresowania każdym żołnierzem. Padają więc pytania bardzo troskliwe, padają prosto a szczerze i serdecznie. Żołnierz ośmielony odpowiada otwarcie. Serce dudni radośnie a mięknie przy takich rozmowach.

Chwyciło. Idzie więc w defiladzie żołnierz ochoczy i tylko piasek egipski się rozbryzguje z pod butów "maćków." To Baon. Twarze stwardniałe, spojrzenie mocne, lecz nic nie wydrze im ich radości.

Idą, tak idą . . . drudzy . . . następni . . . i dojdą—napewno!

ZENON KRZECZKOWSKI

PIEŚŃ O B.S.K.

Wirchami Tatr, gdzie orli szlak,
węgierskich puszt bezdrożem
ku Tobie Polsko—pod Twój znak,
z Imieniem szliśmy Bożem . . .
I chociaż wszędzie czyhał wróg—
prostował nasze drogi Bóg,
Nasz Władca, Pan, i Bóg . . .
Tam, gdzie w rumuński biją brzeg
Czarnego Morza fale,
gdzie szczyt Bałkanów bieli śnieg,
gdzie Dunaj lśni w oddali—
Przez trud i znój, przez ból i łzy,
dla Ciebie, Polsko, myśmy szli . . .
Do Ciebie myśmy szli . . .

Przez serbski kraj, Bułgarów lud,
przez greckie Termopile,
gdzie dumnej Troi sterczał gród,
gdzie Stambuł wieże chyli—
I w Syrii,gdzie Krzyżowców szlak—
znaleźliśmy nasz polski znak—
bojowy, Polski Znak . . .
I tak, jak dawniej, trąbka gra,
lśnią w słońcu karabiny,
suną oddziały B.S.K.—
to mężnej Polski syny . . .
Nad nimi Srebrnopióry Ptak—
triumfu i zwycięstwa znak—
Nasz Orzeł—Polski Ptak . . .

I chociaż dalej bije grom,
choć jęki z Polski płyną,
szaleje wróg . . . i niszczy Dom,
zamienia Kraj w ruinę—

Nam Pieśń Zwycięstwa trąbka gra:
"Do boju—na przód B.S.K.—
Do boju B. S. K."
Z Jeruzalem, od Boskich Stóp,
do walki idziem w świat—
nam błogosławi Chrysta Grób,
niemiecki szczeźnie gad . . .
Nam w oczach lśni zapału skra—
mocarnie w ręku broń nam drga.
"Do Walki" sygnał gra.

Piramid cud, Sahary dal,
niech stwierdzą nasze męstwo—
my z nad świętego Nilu fal
pójdziemy po zwycięstwo.
Nie straszny nam ni skwar,
za Polskę naszą idziem w bój
W ostatni, krwawy bój . . .
Niech w świat potężna leci pieśń
że Polska żyje—Jest i Trwa.
Więc "Gotuj broń"—"Szeregi ścieśń"
rycerstwo dzielne B. S. K.
Bojowa trąbka sygnał gra:
"Marsz . . . Marsz . . . Na wroga B.S.K."
Na wroga B. S. K.

Bojowa trąbka sygnał gra:
"Do walki B. S. K.—
—Do Boju B. S. K."

ANTONI MALINOWSKI-LITTA

("Ku Wolnej Polsce" z dn. 19.IV.1941.)



Słowa Naczelnego Wodza rozbrzmiewają pod afrykańskim niebem

Co myślą i piszą Polacy w Ameryce

ECHO APELU "POLSKI WALCZĄCEJ" W SPRAWIE POMOCY DLA POLAKÓW W ROSJI

Gorący apel p. St.Sz., który niewątpliwie oddawał nastroje i uczucia poważnej większości emigracji /bo tylko chyba w zacietrzewieniu politycznym mógł jeden z tutejszych dziennikarzy dowcipkować niewcześnie na temat "płomiennych apeli"/,—spotkał się z najgorętszym aplauzem wśród Polonii amerykańskiej. Był przedrukowany w wielu pismach, nieraz z gorącymi komentarzami. Tak n.p. "Dziennik Związkowy" poświęcił mu artykuł wstępny p.t. "A na nich czeka zima" podkreślając, że apel ten "nie może przebrzmieć bez echa i wśród nas" i nawołując do jak najszerszej i najśpieszniejszej ofiarności.

PODZIEMNE ŻYCIE OŚWIATOWE KRAJU

Garść szczegółów o tym życiu przynosi F. Gross na łamach "Nowego Świata" na podstawie rozmowy z polskim działaczem oświatowym, który niedawno, po długiej podróży, przybył z kraju do Ameryki. Stwierdza on fakt odżycia ruchu samokształceniowego na wielką skalę, którego nie są w stanie zgnębić prześladowania Gestapo. Miarą siły tego ruchu jest choćby kolportaż tajnej, 40-stronnicowej broszury "Instrukcje dla członków grup samokształceniowych."

Daje się zauważyć znamienny nawrót do sposobów roboty oświatowej, jaka się wykształciła w czasach walk z caratem, w zaborze rosyjskim w XIX wieku, a mianowicie do rodzaju "wędrownej szkoły," czy tajnego, niewielkiego kompletu, skupiającego się głównie na nauce rzeczy ojczystych /literatura i historia polska/. Inne komplety poświęcają, zależnie od zainteresowań, swą uwagę zagadnieniom społecznym i przyrodniczym.

Prowadzona w tak niezwykłych warunkach praca musiała zrodzić inną postawę ucznia wobec nauczyciela, aniżeli to ma miejsce w normalnej szkole. Zmienia się wartościowanie pracy nauczycielskiej. Działacz, który przybył z Polski tak tę zmianę nastrojów charakteryzuje: "Nigdy profesor nie był tak lubiany i ceniony, nigdy praca jego nie była tak doniosła, jak obecnie, i jednocześnie —nigdy nie mógł oczekiwać takiej jak dziś zapłaty: prześladowania i katowania przez hitlerowców."

ŻYCIE KULTURALNE KRAJU W OŚWIETLENIU TAJNEGO PISMA HUMORYSTYCZNEGO

Ponura rzeczywistość życia kulturalnego pod okupacją znalazła ciekawe naświetlenie w bolesnej ironii, z jaką tajne pisemko humorystyczne "Lipa" charakteryzuje "Dni kultury niemieckiej w Polsce od 25 października do 3 grudnia 1940." Powtarzamy za "Nowym Światem" przedruk z pisma tajnego:

"DZIEŃ PIERWSZY:—Otwarcie wystawy pod nazwą: "Wpływ kultury niemieckiej na rozwój miast w Polsce"—wystawa zdjęć miast, wsi i osiedli polskich do kampanii wrześniowej 1939 roku.

DZIEŃ DRUGI:—Uroczyste widowisko pod hasłem: "Niemiecki oświaty kaganiec" na placu Hitlera —publiczne palenie na stosie polskich podręczników szkolnych oraz dzieł Sienkiewicza, Mickiewicza, Żeromskiego, Prusa, Konopnickiej i t.d.

DZIEŃ TRZECI: — Odczyt w ruinach auli uniwersyteckiej p.t. "Kultura totalna"—inauguracyjne zamknięcie szkół wyższych, średnich, zawodowych i powszechnych.

DZIEŃ CZWARTY:—"Freude durch Kraft"—pokazowe łapanki na ulicach i po domach, połączone z wycieczką inteligencji polskiej do Dachau, Oranienburga, Oświęcimia.

DZIEŃ PIĄTY:—Pokaz filmowy niemieckiej szkoły kultury, obrazujący szkolenie profesorów polskich wyższych uczelni w obozach koncentracyjnych przez młodzież Hitlerjugend.

DZIEŃ SZÓSTY:—Zwiedzanie niemieckich ośrodków zdrowia w Sejmie i Al. Szucha, prowadzonych przez Gestapo.

DZIEŃ SIÓDMY: — Otwarcie w Palmirach strzelnicy dla żołnierzy i volksdeutschów, połączone ze strzelaniem do Polaków przy słupkach, przy murach, i w biegu.

DZIEŃ ÓSMY:—Uroczyste zamurowanie dzielnicy żydowskiej w Warszawie.

DZIEŃ DZIEWIĄTY:—Inauguracja "dzielnicy niemieckiej," połączona z pokazem błyskawicznego wysiedlania Polaków i konfiskaty mebli oraz innego mienia.

DZIEŃ DZIESIĄTY:—Zakończenie dni kultury niemieckiej w Polsce pod hasłem: 'Ein Volk—Ein Fuehrer"—uroczysty hołd, składany jedynemu fuehrerowi Hitlerowi w obecności innych fuehrerów: Mussoliniego, Konoe, Franco, Pétaina, Antonescu, Quislinga, Hachy, Skoropadskiego przez przedstawicieli "jednego narodu" z terenu Gubernii Generalnej—Polaków: die Göralen, Kaschuben, Schlonsacken, Ukraińców, Białorusinów, Rosjan, Niemców: Reichsdeutschów, Volksdeutschów, Baltdeutschów, Woliniendeutschów, Stammdeutschów, Judendeutschów i w ogóle Reisendeutschów."

O ROLI EMIGRACJI POŁUDNIOWO-AMERYKAŃSKIEJ W PRZYSZŁEJ POLSCE

Dziś, gdy ochotnicy z Ameryki Południowej zasilają szeregi wojska naszego w Szkocji, nabierają znaczenia głosy prasy z tamtej strony oceanu o roli emigracji południowo-amerykańskiej w przyszłej Polsce. Pisze o niej W. Wójcik w "Dzienniku Związkowym" nawiązując do 8 punktów deklaracji Roosevelt-Churchill.

Uważa on, że z chwilą rozpoczęcia dyskusyj na temat podziału źródeł surowców kolonialnych Polska może tym śmielej wystąpić z żądaniami mandatu kolonialnego dla osadnictwa, bo już "posiada liczny element osadniczy, doświadczony na obcych terenach w krajach Ameryki Południowej, obznajmiony z produkcją kolonialną i nawykły do ciepłego klimatu." Zwłaszcza osadnicy z Brazylii mają już poza sobą okres oswajania się z klimatem, jaki musi przechodzić Europejczyk, mogliby natychmiast, z miejsca przystąpić do pracy w produkcji kolonialnej po przybyciu na nowy teren. Ważniejszy jeszcze jest drugi moment, dotyczący stosunku kolonisty polskiego do tybulców.

"Osadnik Polski w Brazylii"—jak stwierdza Wójcik—"od wielu lat najmuje do pracy kolorowych tubylców, ale nie wyzyskuje ich, ponieważ sam staje do roboty na równi z nimi. Obchodzi się z kolorowymi pracownikami po ludzku, karmi ich obficie i opłaca sprawiedliwie. Nie jest to plantator, znęcający się nad niewolnikami, ale życzliwy chlebodawca."

JAKIE ZMIANY ZACHODZĄ WŚRÓD POLONII AMERYKAŃSKIEJ?

Zmiana przekonań, obyczajów życia, jaka się dokonuje wśród Polonii Amerykańskiej w ciągu ostatnich 25 lat jest przedmiotem uwag "Dziennika Związkowego." Stwierdza on, że

"dużo charakterystycznych naszych wad narodowych—przywiezionych w duszach i mózgach z drugiej strony oceanu, znika powoli w tyglu amerykańskim. Wytworzyły się na ich miejsce nowe wady, ale też i nowe zalety.

Staliśmy się odrębnym społeczeństwem, którego nie można mierzyć wartościami europejskimi, ale do którego nie można jeszcze zastosować w pełni wszystkich miar i wag amerykańskich. Zatracamy już mnóstwo zalet, wad polskich, a nie nabywamy jeszcze wszystkich cnót i zalet amerykańskich.

Z tym jednak wszystkim Polonia amerykańska wykazuje znaczny postęp w ustosunkowaniu się zewnętrznym, w swym życiu społecznym i narodowym.

Wziąć choćby paradę Pułaskiego w New Yorku. Odbyła się w ubiegłą niedzielę po najpiękniejszej ulicy metropolii wschodu, po 5-ej Avenue. Wzięło w niej udział około 120.000 osób. Wszystkie stany, wszystkie klasy, wszystkie zawody, od najbiedniejszych do najbogatszych, tu zrodzeni i zrodzeni w Polsce, w mundurach i po cywilnemu, wszystkich wyznań religijnych, wszystkich zapatrywań politycznych, wielbiciele Piłsudskiego i wielbiciele Dmowskiego—wszyscy w jednym szeregu, w jednej zwartej gromadzie—w POLSKIEJ gromadzie. Tak być powinno!

"Dziennik Związkowy" stwierdza, że mimo niewątpliwych różnic politycznych i religijnych, jakie dzielą wychodźstwo, istnieje wspólna płaszczyzna, na której dadzą się te różnice nie usunąć, nie zniwelować, lecz podporządkować celowi wyższemu, nadrzędnemu: "tą płaszczyzną jest sprawa polska, wyrażająca się dzisiaj w pracy ratunkowej."

My tu w Anglii z tej przemiany możemy się tylko cieszyć, wierząc, że do akcji pomocy materialnej Polonia St. Zjednoczonych w nowych warunkach, stworzonych przez wejście Stanów do wojny, dorzuci swój intensywniejszy wkład w wojskową akcję werbunkową. Ta bowiem sprawa stoi w porządku dzisiejszych potrzeb Polski bezsprzecznie na miejscu naczelnym.

ADAM ORDĘGA

Pomoc dla Polaków w Rosji

Z okazji ślubu p. Krystyny Radeckiej-Mikulicz Koledzy i Koleżanki z Wojskowego Biura Propagandy i Oświaty Sztabu N.W. przesyłają na ręce redaktora "Polski Walczącej" zamiast prezentu ślubnego sumę: £8 na fundusz Pomocy dla Polaków w Rosji.

* * *

Szef Wojskowego Biura Propagandy i Oświaty przekazał nam zamiast rozsyłania życzeń świątecznych £2.

* * *

Otrzymaliśmy na ten sam cel od "przyjaciela—Anglika, który był w Polsce" £5, od ul. W.M. sh. 5, od grupy podchorążych 1-ej Brygady Strzelców "zamiast wydatków na kino w dni świąteczne" sh. 15.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej" otrzymała od Czytelników i Przyjaciół wielką ilość życzeń świątecznych i noworocznych, za które tą drogą najgoręcej dziękuje i które najserdeczniej odwzajemnia. Zamiast podziękowań i życzeń indywidualnych przeznacza £2 na pomoc dla Polaków w Rosji.

* * *

Łączną sumę: £18 przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Bez black-outu

Do Lotników polskich przybyłych z Rosji "Somewhere in England."

Kochani!

W tej drodze chciałem Wam z całego serca podziękować za te krótkie chwile naszego spotkania "gdzieś w Anglii". Kantyna R.A.F. o zmroku, licho płonący kominek, prosty stół, na nim kubki z czarną kawą—oto tło naszego pierwszego, niezwykłego spotkania.

Nazywam to spotkanie niezwykłym, gdyż nie były zwykłe myśli, jakie po nim pozostały, nie były zwykłe uderzenia serca, które, i w chwili pisania tego listu, bije pod rytm Waszych słów: prostych, przejmujących, wielkich. Może to rytm kilofów, uderzających w zamarzniętą, daleką ziemię, może to rytm kamieni toczonych w trudzie po obcej drodze. Słowa rosną, toczą się lawiną: bólu, głodu i krwi, słowa potężnieją . . .

Słowo Wasze jest twarde, jak spracowana dłoń, którą ściskamy pochylając głowy. Ale w tym Waszym słowie z dziwnym rozrzewnieniem, a może zażenowaniem my, wolni i syci odnajdujemy wiarę płomienną, odnajdujemy pełnię żołnierskiego ducha i—jak w krynicy niezwykłej—obmywamy się w Waszych słowach z naleciałości i przywar, nieodłącznych, niestety, od każdej emigracji.

Czytajcie dalej cierpliwie! To nie panegiryk pisany na zamówienie, to nie chęć "kadzenia" komuś, to nie "korzenie" się przed Wami, to po prostu—prawda, która w tej sprawie jest jedna, przerażająco wielka, tragicznie rzeczywista:

Wy, niedawno niewolni, Wy strudzeni, Wy z Rosji, nasi w Kraju i oni, żołnierze polscy z kampanii wrześniowej i francuskiej w niewoli niemieckiej zorganizowani, dumni, odporni—budzicie w nas nadzieję zwycięstwa, budzicie w nas ducha, jesteście Polską, wielką w swym cierpieniu i w swej głębokiej wierze w Zmartwychwstanie.

Powiedział mi ktoś przybyły niedawno szczęśliwie z niewoli niemieckiej:

"My tam w obozie, w niewoli, mieliśmy gorętszą wiarę, niż wy tutaj. Tylu tu u was niedowiarków, tylu krytyków, pesymistów, a tam po prostu był oddział żołnierski w niewoli, oddział ludzi intensywnie myślących, interesujących się wydarzeniami światowymi bez defetystycznego naświetlania ich, bez pomruków niedowiarstwa. Przykro mi, że panu to muszę powiedzieć, ale wy tutaj jesteście bardziej zgorzkniali, aniżeli oni tam, w niewoli. Przecież każda lepsza wiadomość jest przyjmowana tu krytycznie, często z gorzkimi, złośliwymi komentarzami. Poza tym te ciągłe niezadowolenia, te rozmowy malkontentów. To zupełnie dla mnie niezrozumiałe. To coś zupełnie nowego . . ."

Mieniłem się różnymi kolorami w czasie tej rozmowy z kapralem X, niedawnym lokatorem Stalagu niemieckiego. Czerwieniłem się ze wstydu i zieleniałem ze złości. Ta prawda biła we mnie całą swoją nieodpartą siłą. Prawda zawsze tak bije. Jesteśmy zgorzkniali, żółć nas zalewa, emigracyjna żółć . . . "made in Great Britain" według starych wzorów. Jesteśmy żołnierzami na wolnej ziemi brytyjskiej, lecz jakże często w niewoli własnych nerwów, własnej niewiary i własnej lekkomyślności.

Kochani Lotnicy! Czytałem i to także w Waszych oczach, chociaż nie mówiliście na ten temat—pewnie przez dobroć serca i przez grzeczność. Czułem, że dużo wiecie o nas, że Was to boli. Pamiętam ten głos cichy, który powiedział, jakby zażenowany:

"Uratowano nam życie, umożliwiono dalszą walkę. To wielka rzecz. Niech pan powie każdemu, kto wątpi, każdemu, kto tego nie przeszedł, że chętnie opowiemy niech przyjeżdżają . . ."

Zachęcam gorąco do tych odwiedzin. Adres przez Inspektorat Polskich Sił Powietrznych w Londynie przepustka do kieszeni i—jazda "somewhere in England" do lotników, Polaków, przybyłych z Rosji. Jedźcie i słuchajcie o kromce chleba, dzielonej na pięciu, o łyżce rybnej zupy, wydzielanej raz na dzień /zapach ryby przyprawia ich dzisiaj o mdłości/. Słuchajcie o dniach ciężkiej, ogromnie ciężkiej pracy na gościńcach i w lasach na dalekiej Północy, o nocach, spędzonych w szałasach w czasie mrozu i zawiei . . .

Pojedźcie i posłuchajcie opowieści o tej wigilii niewolników, której cała treść zamknęła się w symbolicznym zawieszeniu choinki pod pułapem. Nad nią ręka żołnierza zatknęła wysoko, w górze, polski sztandar, złożony ze skrawków papieru i z trudem odtworzone emblematy Polskich Sił Powietrznych. Wartownik nie pozwolił wówczas na wywieszenie sztandaru i polecił ściągnięcie choinki wraz z barwami Polski i emblematami. Rozkaz nie został wykonany. Wtedy wartownik zdenerwowany szarpnął choinkę, która . . . została mu w ręce. W górze zaś pod pułapem powiewał dalej skromny, wystrzępiony sztandar Polski, kołysały się znaki lotnicze. W takiej chwili rozległ się śpiew żołnierzy niewolnych, lecz niezwyciężonych, porwali się na nogi i salutując sztandar wołali z głębi wzruszonych serc: "Jeszcze Polska nie zginęła póki my żyjemy" . . .

Póki my żyjemy . . .

"Nie wiedzieliśmy, czy będziemy żyć—mówi jeden.

"Byliśmy pewni śmierci, nie myśleliśmy już o tym 'czy', tylko 'kiedy'—mówi drugi.

"Teraz tylko się martwimy, żeby któregoś z nas, z lotnictwa, nie wylali, bo jeszcze czasem kto niedomaga, ale już co raz mniej." —mówi trzeci.

Jechać, Koledzy, jechać do nich! Moim zdaniem I.P.S.P. powinno zorganizować wycieczkę uzdrawiającą pod hasłem: "Poznaj duszę Polaka". Specjalne zniżki dla malkontentów, pesymistów i niedowiarków. Autorzy broszur aktualnych korzystają z 50% ulgi.

Kochani Lotnicy! Przygotujcie się na taką wizytę i, chociaż tak niechętnie mówicie o osobistych "przeżyciach", to jednak, gdy przyjedzie ta wycieczka, przełamcie się i mówcie, mówcie, mówcie.

Wy, Kochani Lotnicy, na razie do Szkocji nie przyjeżdżajcie, dopóki nie odwiedzą Was wycieczki potrzebujących gwałtownie uzdrowienia, lecz na szczęście nielicznych wśród nas, inwalidów moralnych, dla których jedynym celem dnia była, bodaj że do tej pory, randka ze Szkotką, jedynym celem tygodnia—dancing sobotni, jedynym kłopotem—zbyt rzadka zmiana programu w miejscowym kinie. Dla takich inwalidów każda lepsza wiadomość radiowa jest zawsze "bujdą na resorach," a każda radość z działalności naszych władz polskich na arenie światowej po prostu . . . "wazeliną".

Przyjedźcie do nas dopiero wtedy, Kochani, gdy znikną w pewnych kasynach "somewhere in Scotland" słynne "księgi zażaleń", w których jeszcze dzisiaj można wyczytać takie "historyczne" dla przyszłych pokoleń notatki:

"Dziś kartofelki były źle przysmażone, kiedy nareszcie doczekamy sie puré?"—

lub: "Dlaczego tyle bułki tartej w kotlecikach wieprzowych?"

albo jeszcze: "Czy nie za często zupa pomidorowa?"

Gdy tacy do Was przyjadą, opowiadajcie im długo o zupie rybnej, o tej pachnącej na kilometry wodnistej, ohydnej zupie. Długo, bardzo długo, aż . . . wyzdrowieją.

Ściskam serdecznie Wasze dłonie. Szczęśliwych lotów.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Z życia obozów

"Sowa 30, wołaj Lwów"

Z Londynu wyjechaliśmy o świcie. Długa przed nami była droga a chcieliśmy być przed zapadnięciem zmierzchu na miejscu. Już zaraz za Londynem, okazało się, że trzeba naprawdę dobrze się orientować w trasie, jeżeli się chce bez błądzenia, najkrótszą drogą dotrzeć do celu podróży angielskimi szosami. Ciężki wóz radiowy sapał niby astmatyk, wspinając się po stromych zboczach pagórków, poprzez które prowadziła wijąca się krętymi serpentynami droga.

Pędziliśmy bez zatrzymania przez wioski i miasteczka Anglii, byle jak najdalej od Londynu—jak najbliżej punktu wytyczonego na naszej mapie, jako cel podróży. Wóz, ciągnąc uparcie ciężar radiowych urządzeń i naszej ekipy swym monotonnym szumem motoru, jakby nas uspakajał: spokojnie, spokojnie! . . . co nagle to po diable! będziemy na miejscu na czas, zanim jeszcze pierwsza gwiazda zabłyśnie . . .

Tak! Musimy być na miejscu przed pierwszą gwiazdą. Przecież to dziś dzień wigilijny. Nie możemy się spóźnić na wigilię. I to jeszcze jaką wigilię! Z polskimi lotnikami, z myśliwcami nocnymi!

No, dzięki Bogu nie spóźniliśmy się zbytnio. Przed wjazdem na lotnisko, warta skrupulatnie sprawdza nasze papiery, bada przepustki na wszystkie strony, przygląda się każdemu z nas nieufnie—ale w końcu brama wjazdowa stoi dla nas otworem. Jedziemy teraz pomiędzy polami lotniska ku barakom rozrzuconych tu i tam zabudowań. Przydzielony do nas na Anioła Stróża młodziutki porucznik lotnictwa, wyjaśnia nam, że dziś wszyscy wolni od zajęć i służb mają się zebrać razem w messie szeregowych na wspólną wieczerzę wigilijną.

Ale już oto dojeżdżamy do wydłużonej podkowy baraków messy szeregowych. Zdążyliśmy jeszcze na czas, bo nasi lotnicy zaczynają się dopiero schodzić.

Sala messy ustrojona sztandarami i jedliną, długie stoły, ustawione w podkowę, choinka, przybrana świecidełkami—czekają na biesiadników wigilijnych. Wszędzie niebieskie mundury lotnicze: naszywki sierżanckie mieszają się z dystynkcjami oficerskimi. Gwar rozmów. Właśnie kombinuję, jakby tu najlepiej przeciągnąć mikrofon, żeby nagrać dla radiosłuchaczy fragment tej lotniczej wigilii, kiedy z pośród tłumu niebieskich mundurów wyciągają się ku mnie czyjeś ręce i wybitnie lwowski akcent zadominował nad ogólnym pogwarem:

—A skądżeś ty się batiaru znalazł u nas na wigilii? A żeby ciebie cholera jasna! Daj pyska pokrako nieszczęsna!

Ściskamy się serdecznie, jak bracia. Przecież to kolega wspólnych doli i niedoli z Francji. To z górą już rok, jakeśmy się nie widzieli.

—Ty, wisz? Małpostrach też jest tutaj w lotnikach.

—To dawaj go tutaj!

Nowe powitania i jeden przez drugiego gadamy, jakby nas już za chwilę mieli rozłączyć. Wspomnienia wspólnie przeżytych chwil wiążą się w naszej bezładnej gadaninie w barwną, czasami wesołą, a czasami tragiczną opowieść o naszych ciężkich francuskich doświadczeniach.

Ktoś dał znak, że za chwilę początek wieczerzy. Umilkły więc rozmowy. Gość Dywizjonu, angielski dowódca lotniska, składa życzenia świąteczne. Potem kilka serdecznych słów dowódcy Dywizjonu i już wszyscy łamią się po kolei opłatkiem, tak białym, jak w Polsce a jakże innym na obcej ziemi. Obok mnie, młody chłopak w sierżanckim mundurze odwija pieczołowicie z jedwabnej chusteczki jakiś ledwo widoczny okruch i pokazuje obok stojącemu koledze.

—Ty, masz, obiecałem się z tobą przełamać polskim opłatkiem . . .

Patrzą obaj, jak na komunię na małe kawałątko białego opłatka.

—No, żeby ci wszystkiego najlepszego w tym roku starczyło, żebyśmy już na przyszłą wigilię takim polskim opłatkiem tam, w Polsce się łamali. Ten od Węgier mam. Przysłali mi do obozu. Już trzecią wigilię nim się łamię . . . Na czwartą nie starczy . . .

Ktoś zaintonował kolędę i już cała sala śpiewa. Nie wyuczony to chór a najpiękniejszy. Tak coś w człowieku wezbrało przypływem wspomnień . . . Eh, czas do pracy!

Mikrofon już włączony. Za chwilę igła adaptera żłobi w płycie dźwięki kolędy polskiego lotnika, na obcej ziemi świętującego swoją polską wigilię.

Jakiś młody chłopak przeciska się do mnie przez tłum sinych mundurów:

—Poznaje mnie pan?—pyta.

Patrzę i oczom mi się nie chce wierzyć. Boże drogi, przecież to brat mego szkolnego kolegi jeszcze z Wilna. Skąd? Jakim sposobem? Tutaj, w Anglii? Co z rodziną? O bracie nic nie wie. Ojca aresztowali jeszcze bolszewicy; jaki los go spotkał . . . Jest od dwóch lat w Anglii, bo cudem udało mu się przedostać.

Łamiemy się opłatkiem. Życzymy sobie spotkania w pomyślniejszych okolicznościach. Daj Bóg, by następną wigilię móc spędzić w Polsce. Pójdziemy wówczas razem na pasterkę do Ostrej Bramy—przyrzekamy sobie.

Krótka wigilia żołnierska ma się ku końcowi. Zwijamy mikrofony. Czas w dalszą drogę w odwiedziny tych, którzy dziś mimo wielkiego święta nie mogli zejść z posterunków pracy.

Lotnisko, mimo nocy, jasne, wysrebrzone poświatą księżyca. W górze—warkot motorów maszyn, które nawet dziś poszły w górę na zwykłe patrole bojowe. Tym, pierwsza gwiazda dnia wigilijnego nie była sygnałem święta Bożych Narodzin—była zwiastunem zmroku, a więc pracy, startu do walki. Nie ma dziś wigilii dla załóg myśliwców, wyruszających w patrol bojowy.

Opodal nas, na *runway'u* ląduje maszyna: kilka błyskawicznych sygnałów świetlnych, reflektor z podbrzusza samolotu rzucił ostrą smugę światła na ziemię, by się zorientować w terenie lądowania, i już maszyna siada na ziemi. Koniec lotu. Koniec bojowego patrolu. Powrót szczęśliwy.

—He, he! Dobrze dziś mają! mogą sobie świecić przy lądowaniu. Ale jakby tak alarm, to ani mru-mru, ani światełka! Ląduj człowieku poomacku!—padła uwaga z boku.

W *operation* wymiana krótkich zdań ze startującym właśnie do lotu na patrol bojowy myśliwcem:

—Hallo Sowa 30, hallo Sowa 30. Wołaj Lwów!

Tu się rozrządza kierunkiem lotu, tu się decyduje nieraz los przemierzającego drogi niebieskie myśliwca. Kieruje się go ku niemieckim korsarzom nocnych wypraw bombowych, nakazuje walkę lub przywołuje ku ziemi. Skupienie pracy, bo waga słów docierających do uszu lotnika zawieszonego w gwiaździstym niebie jest wielka: znaczy o życiu załogi myśliwca. Znaczy o losie drogocennej maszyny. Znaczy o zwycięstwie.

W *readiness* załogi maszyn w pogotowiu bojowym oczekują sygnału startu. Za chwilę może przyjdzie rozkaz lotu naprzeciw nadlatującym niemieckim bombowcom. Dookoła rozpalonego piecyka siedzą załogi nocnych myśliwców w każdej chwili gotowych do startu, do walki.

—Oho, już M. przyszedł—mówi mi jeden, przysłuchując się bliskiemu warkotowi silnika lądującego na pobliskim *runway'u* samolotu—wie pan co? Ten M. to wspaniały chłopak. To pilot jeszcze z Polski. We wrześniu, na naszych polskich, o niebo gorszych maszynach, potrafił strącić trzech Niemców, ale w rezultacie i sam został strącony. Był przytem ranny. Sześć kul dostał. Leczył się w szpitalu niemieckim w niewoli a jak tylko trochę się wylizał, natychmiast zwiał. Udało mu się. W kwietniu 1940 roku przedostał się do Francji ale tylko poto, żeby znów uciekać, tym razem do Wielkiej Brytanii. Tu dopiero powrócił do swojej pracy lotnika. Mimo sześciu kul, które do dziś dnia w nim tkwią, brał udział w bitwie o Brytanię a teraz przeszedł do myślistwa nocnego.

—A ma już jakiego Szwaba na sumieniu od czasu swoich nocnych lotów?—pytam.

—No, widzi pan, do tego to już nie tylko trzeba umiejętności ale i szczęścia. Ot, taki sierżant T. Ten już ma sześć spotkań nocnych. Jednego razu, niedawno, podczas patrolu bojowego, trwającego 50 minut, zestrzelił dwu Niemców. To się nazywa mieć prawdziwe szczęście!—westchnął . . . —Ale i głowę trzeba mieć na karku! Sierżant T. to niezrównany pilot, a i obserwator jego maszyny to niezrównany facet. Bo wie pan, od obserwatora to też prawie wszystko zależy. Jak on dobrze naprowadzi . . . Zresztą co tu dużo gadać! Ot, my wszyscy: pilot, obserwator, mechanik, zbrojmistrz—to jedna wielka bojowa rodzina. Zależni od siebie wiemy, że nasze zwycięstwa to wynik wspólnego wysiłku. Nikt też nie szczędzi pracy. A choćby dziś. Każdy z nas właściwie to już zapomniał, że to wigilia. Nie czas na sentymenty, nie pora na święto, nawet tak nam bliskie jak dzień wigilijny, bo my mamy przed sobą do wykonania pracę ciężką, ale i owocną w wyniki. My jesteśmy tu na to, żeby ludziska spokojnie spali po miastach, żeby fabryki mogły pracować. Ot co!

Rozmowę przerywa telefon. Sylwetki niedbale rozłożonych w fotelach dookoła pieca lotników poderwały się sprężyście.

—To nic ważnego—rzekł ospale telefonista—Ktoś z kasyna przesłał nam życzenia świąteczne . . .

BOLESŁAW K. PIEKARSKI

"Zwycięstwo pojechało nad fiordy..."

"Cóż to za odprawa "konusów"?—mruknął niechętnie mój sąsiad ze "stojącego" parteru, gdy drużyna polskich piłkarzy wbiegła na boisko sportowe w*

Istotnie nasi zawodnicy byli przeważnie małego wzrostu. Tak się jakoś złożyło, że zmieniając skład drużyny na zawody z Norwegią wymieniono właśnie kilku wysokich i silnych graczy. Wprawdzie i wśród Norwegów nie ujrzeliśmy wielkoludów, ale fizycznie prezentowali się oni daleko lepiej.

Publiczność przybyła na ten mecz pod znakiem oczekiwania solidnego rewanżu i niebylejakiego prania honoru naszej reprezentacji za nierozstrzygnięty wynik ostatniego spotkania z Czechami. Zwłaszcza cyfrowy rezultat tego boju o mistrzostwo piłkarskie Wojsk Sprzymierzonych /0:0/ mocno wjechał na ambicję sportowej opinii żołnierskiej.

"Co to znaczą dwa zera?"—huczał pewien zażywny sierżant—co to jest za wynik? Gdzie był nasz atak? Jednego "baniaka" nie mogli wtrynić, ofermy zatracone! Taki wstyd!"

Jak mi później powiedziano srogi krytyk był do pewnego stopnia osobiście dotknięty bezbramkowym rezultatem i tymi dwoma zerami, obciążonymi fatalną opinią. Z kompanii bowiem, w której był szefem, wywodził się jeden z napastników, który przefujarzył kilka "murowanych sytuacyj." Podobno pan szef wyraził nawet pogląd, że wypadnie mu się "zająć" bliżej niefortunnym strzelcem, aby oddziałowi wstydu nie przynosił.

Powiało Północą, gdy rozległy się poważne tony norweskiego hymnu narodowego, zaraz potem rozradował serca Mazurek Dąbrowskiego i gra się zaczęła. Od pierwszej chwili widać było, że Skandynawi nie będą się bawić w zawiłe kombinacje; gracze szli ostro na piłkę, podawali szybko do przodu, przeważnie górą i strzelali często, chociaż niecelnie. Nasi demonstrowali chwilami błyskotliwe zagrania i tricki piłkarskie, ale ulegali w grze głową i niepotrzebnie pozwolili sobie narzucić sposób gry górą.

Gra była szybka i bardzo żywa w pierwszym kwadransie. Mimo lekkiej przewagi gości polskie "konusy" przeprowadziły kilka zgrabnych zagrań, a nowy "szef" polskiego ataku rąbnął tak rzetelnie w bramkę norweską, że "goalkeeper" wikingów nie miał nic do powiedzenia.

W tym jednak momencie liczna kolonia norweska dała znak życia. Kilku wilków morskich w granatowych, srodze ugalonowanych mundurach, zaintonowało: "*Heja Norge!*", okrzyk ten przerzucił się na przeciwległy parter, gdzie usadowiły się widocznie znaczne siły lądowe synów Północy i towarzyszył odtąd niemal stale każdemu składniejszemu posunięciu piłkarzy. Wobec tego i polska publiczność uznała, że czas przejść do akcji. Norweski okrzyk bojowy: "*Heja!*" zmieniono na swojskie "Hajda" i bywały okresy, kiedy rwetes był potężny.

Nagle goście wyrównują. Trochę "zbyczyła" nasza obrona, może i bramkarz nie był bez winy, ale goal "siedzi." Kibice norwescy w radości demonstrują temperament godny najgorętszych południowców, publiczność polska, nieco speszona, odmierza grzecznościowe oklaski. Na ogół jednak panuje przekonanie, że dopiero teraz nasi pokażą, co umieją. I pokazują, biorąc się ostro do roboty; cóż kiedy tym groźnym, na oko, akcjom brak wykończenia. Mały "Myszka" objeżdża ku radości widowni po kilku przeciwników, ale nie może dosięgnąć górnych piłek, Stonawski strzela ładnie kilka razy, ale niecelnie.

Po chwili szanowna publiczność ma trochę dość tej zabawy i przybiera bardziej energiczną postawę: "Nie kiwaj się!" pada okrzyk pod adresem prawego łącznika, który z upodobaniem "wózkuje." "Uwaga "Narvik" z tyłu!"—ostrzega zgodny chór kilku głosów środkowego pomocnika, a zjednoczona opinia wielkim głosem woła: "Polska tempo"! lub "Polska goala"!

W jakiejś chwili jeden z naszych ma doskonałą pozycję, spokojnie "nastawia" sobie piłkę, widownia wstrzymuje oddech, ostry strzał i silna "bomba" przelatuje tuż nad poprzeczką. "Gdyby tak bramka była wyższa bodaj o metr, to kto wie . . . "—brzmi w czyimś głosie otchłań drwiącej goryczy, a ktoś inny dorzuca, że niedoszły strzelec "był największy w całej Polsce . . . ale patałach."

Nowa seria: "*Heja, heja*" podnieca Norwegów. Siarczysta "centra" z lewego skrzydła ląduje aż za trybuną, a za chwilę inny, tym razem niski "gniot" zagraża bezpieczeństwu parteru. Panuje ogólne podniecenie, tylko szkocki policjant, cały w uroczystej czerni munduru, w typowym wysokim kasku dostojnie i obojętnie przechadza się wzdłuż linii autowej.

Po przerwie generalny szturm Norwegów. Pod bramką polską robi się gorąco, obrona i pomoc pracują ciężko, z trudem wytrzymując ataki. I nagle piękny wypad naszej drużyny: daleki wykop obrońcy, celne dośrodkowanie "Myszki" i prawy łącznik, choć naciskany przez przeciwnika, strzela nieuchronnie. Prowadzimy 2:1, a oczom niektórych fantastów w różowej mgle wieczoru ukazuje się Nike piłkarzy. Zrywa się burza oklasków, istne piekło Dundejskie sportowego entuzjazmu.

Obraz gry zmienia się momentalnie: nasi przechodzą do natarcia, a publiczność widząc, że doping skutkuje, rozpoczyna koncert na dobre. Teraz "Narviki" są w opałach, kilka razy goal "wisi w powietrzu," a raz nawet lewy łącznik odbitą od słupka piłkę posyła do siatki. "*Pretty good*"—zauważa uprzejmie czarny "Bobby," poczem orientując się, że sędzia nie uznał punktu, rozkłada rece i dodaje: "*Sorry—offside.*"



fot. Stanisław Rochowicz

Jeszcze jedna emocja: Czubaszek rwie z piłką na przód, mija pomoc i obronę, podprowadza pod bramkę i . . . nieznacznie przenosi. Szmer rozczarowania. "*Good game*"—opiniuje znowu tyka w policyjnym uniformie, ale nie znajduje zrozumienia. "Temu karawaniarzowi to się podoba, on to nazywa dobrą grą"—wybucha czyjeś skrywane niezadowolenie.

Ale miara zawodu dopełnia się dopiero w chwili, gdy długonogi środkowy napastnik gości wyzyskuje zamieszanie podbramkowe i wyrównuje. Teraz gra staje się ostra, bezpardonowa, ale doskonały szkocki sędzia trzyma krótko drużyny. "Musi to być jakiś były footbalista i to, pewnie niezgorszy "kosiarz," bo zna się na wszystkich trickach i sztuczkach i nie pozwala "chodzić po kościach"—bąka z uznaniem jakiś domorosły znawca zagadnień sportowych.

Ważą się losy spotkania, Norwegowie znowu dochodzą do głosu i silnie atakują, część widzów zrezygnowała już z nadziei zwycięstwa i zmierza ku bramie wyjściowej co chwilę jednak przystając i oglądając się, gdy tylko okrzyki zachęty wytrwałych optymistów wskazują, że nasi są przy piłce. Już tylko kilka minut zostało do końca, gdy w zapale walki jeden z Norwegów z furią wpada na własnego kolegę i wytrąca mu piłkę. Huczny śmiech wybucha gwałtownie, a potem w nagłej ciszy jakiś tubalny głos woła: "Norwegia uważać na piątą kolumnę"!

Jeszcze jeden strzał na bramkę polską, mężnie obroniony za siatką przez . . . kolegę fotoreportera i gra się kończy. Norwescy marynarze wiwatują gwałtownie.

"Widać mieli pietra przed nami, kiedy się tak cieszą z tego remisu"—pada czyjaś pocieszająca uwaga.

Tak, tak oni mieli stracha, a nasze zwycięstwo pojechało na . . . fiordy—odpowiada gniewnie młody podchorąży, sadząc wielkimi krokami ku bramie wyjściowej.

LUDWIK BOJCZUK

Wojna na morzu

SĄ RZECZY, KTÓRE TRUDNO POJĄĆ

Są rzeczy, które trudno pojąć na pierwszy rzut oka. Świat jest karmiony propagandą, która, jeśli jest nierzetelna i nieprzemyślana, może być zwykłym zakłamaniem, a zakłamanie nigdy jeszcze nikomu korzyści na dłuższą metę nie przyniosło. Amerykanie, w dniach amerykańskiej "neutralności" w ten sposób właśnie zakłamali się i teraz przeciętny obywatel amerykański nie może wyjść ze zdumienia. — Jakto? — wołają gazety amerykańskie — wbijano nam w głowy, że "wszystko jest przemyślane i przygotowane na Pacyfiku na wszelką ewentualność," że flota wojenna Stanów Zjednoczonych nigdy nie da się zaskoczyć, a tymczasem, nie tylko zaskoczono nas na wyspach Hawai, ale "Japsy" rządzą się na Oceanie Spokojnym, jak szare gęsi i robią co chcą. Zdobyli Guam, zdobyli, po bohaterskiej obronie, wyspę Wake, zajęli Manilę i są u progu zdobycia Filipin. Lądują gdzie chcą, wożą olbrzymie transporty wojska, broni, amunicji, ropy i benzyny, czołgów i samolotów prawie zupełnie bezkarnie, a po wylądowaniu utrzymują z powodzeniem morskie linie komunikacyjne. Jedyni, którzy im od czasu do czasu w tym wszystkim przeszkadzają, to . . . Holendrzy ze swą maleńką marynarką wojenną i nie mniej wielką flotą powietrzną Indii Wschodnich.

Co to znaczy? Dlaczego nikt nie śpieszy na pomoc generałowi MacArthur, dlaczego Departament Marynarki Wojennej St. Zj. ogłasza, że "nie należy spodziewać się akcji floty Stanów Zjednoczonych na wieksząskalę i publiczność amerykańska musi być przygotowana na wiele jeszcze niepowodzeń i przykrości?"—

Karmiona bombastycznymi mowami, sążnistymi artykułami laików i wychowana na filmach (zawsze bohaterskich i zawsze zwycięskich) publiczność amerykańska pojąć tego wszystkiego nie może i, przyznajmy otwarcie i szczerze, i my tu, w Anglii nie bardzo rozumiemy. Nauczeni wprawdzie gorzkimi i bolesnymi doświadczeniami, nigdy nie byliśmy tacy optymistyczni i nie chodowaliśmy nadmiernych złudzeń. Wiemy tu, że przeciwnik jest twardy, dobrze uzbrojony, wyposażony, bitny, ale z drugiej strony tyle naczytaliśmy się o potędze morskiej Stanów Zjednoczonych, że i nam jakoś trudno zrozumieć czemu Japończycy z taką łatwością opanowali północną część Zachodniego Oceanu Spokojnego z Hong Kongiem włącznie.

I na podstawie miesięcznego doświadczenia z tego terenu walk trzeba powiedzieć twardo: Stany Zjednoczone *nie były* i jeszcze *nie są* przygotowane do wojny, podczas gdy Japonia *była* i *jest* przygotowana znakomicie. Jest to fakt, na morzu widoczny specjalnie jaskrawo, jest to jedyny i zasadniczy powód początkowych powodzeń Japończyków.

WARUNKI I WIDOKI WOJNY NA PACYFIKU

Olbrzymie przestrzenie na Oceanie Spokojnym, o których pisaliśmy już poprzednio, utrata baz pośrednich w pierwszych już dniach wojny, sparaliżowały marynarkę wojenną Stanów Zjednoczonych na tyle, że Japończycy zdołali przeprowadzić pierwsze swoje operacje z pełnym sukcesem *i dotąd będą trzymali inicjatywę w swoich rękach, dotąd będą bili Sprzymierzonych, pokąd Stany Zjednoczone i Wielka Brytania nie zdołają przegrupować swoich wielkich sił morskich w ten sposób i na taką pozycję, z której będą mogli rozpocząć działania na wielką skalę, aby zniszczyć i rozgromić japońską marynarkę wojenną. Bez zniszczenia bowiem i kompletnego rozbicia sił morskich Japonii zwycięstwo Sprzymierzonych na Oceanie Spokojnym jest niemożliwe.*

Na tym właśnie polega pozorna "bezczynność" floty amerykańskiej i w tym leży tajemnica początkowych powodzeń japońskich. Miażdżąca potęga Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii zajmuje jednak określoną przestrzeń i znajduje się w ograniczonych miejscach globu ziemskiego—jest bowiem tylko dziełem rąk ludzkich. To też mądrze robią Sprzymierzeni, starając się tej potęgi morskiej nie zmarnować na odosobnione i mniej ważne działania, starając się ją zaoszczędzić i przegrupować do walnej rozprawy, w której obecne powodzenia japońskie będą tylko fragmentem. Myśl strategiczna powinna bowiem górować w tym wielkim zmaganiu na przestrzeniach, jakich nie pamięta do tej pory historia ludzkości.

Powinniśmy z zaufaniem spoglądać w przyszłość. Wspaniały człowiek, jakim jest Winston Churchill, nie na darmo bawił tak długo i dwukrotnie w Washingtonie i nie darmo Departament Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych stara się uspokoić opinię publiczną przez komunikaty, pisane w przejrzystych okularach. Jednym z podstawowych bowiem zadań propagandy amerykańskiej jest obecnie . . . zmazywanie różowego koloru z okularów. Zdrowy, twórczy, trzeźwy pogląd jest bliski zwycięstwa; przesadny optymizm i przymykanie oczu na rzeczy niemiłe i poważne, jest, obok nieuzasadnionego pesymizmu, rodzonym bratem klęski.

Zwycięstwo, czy klęska, a zwycięstwo jest pewne jak 80 do 100, pisane będą na Oceanie Spokojnym przez okręty i samoloty. Nim zaś dojdzie do tego kolosalnego starcia na największym z Oceanów, wszelkie działania obecne należy traktować jako działania ułamkowe. Gdy zostanie zdruzgotana potęga Japonii na morzu, odosobniona Japonia nie będzie mogła, nic zrobić a jej, dotąd zwycięskie wojska, zostaną po kolei wyduszone w chwilowo zdobytych gniazdach. Chodzi tylko o to, aby, nim dojdzie do walnej rozprawy na morzu, tych gniazd i baz na lądzie nie było nazbyt wiele, aby "nie wszystkie lotniska i bazy morskie" znajdowały się w rękach "Japsów".

Zdaje się, że "Gibraltar filipiński," słynna skała Corregidor, położona w samej "szyi" zatoki, nad którą leży Manila, będzie się bronił długo i skutecznie. Zdumiewa natomiast łatwe i bez walki prawie oddanie bazy morskiej Cavite w tej samej zatoce, bazy, która kosztowała Stany Zjednoczone miliony dolarów. (Wielkie stocznie okrętowe, doki, warsztaty, i t.p.) . . . Trzeba wierzyć pogodnym słowom premiera Wielkiej Brytanii, który oświadczył dziennikarzom amerykańskim i kanadyjskim w Ottawie: — "Nadejdzie taka chwila, że "Japsy" spotkają się z niemiłą dla nich niespodzianką na Oceanie Spokojnym. Wierzę, że baza w Singapore utrzyma się tak długo, jak potrzeba."

RAIDY NA WYSPY U WYBRZEŻY NORWEGII

W ciągu niespełna 2 tygodni okręty wojenne brytyjskie i polskie, z brytyjskimi i norweskimi oddziałami "Komandos" na pokładzie, dokonały 2 pomyślnych, choć przedsiębranych "na małą skalę" wypadów na szereg wysp, położonych przy samym wybrzeżu Norwegii. Raidy te były tym jeszcze ciekawe, że odbywały się ze współdziałaniem samolotów R.A.F. i to zarówno bombowców, jak i samolotów myśliwskich o dalekim promieniu działania. Poza zniszczeniami, dokonanymi w paru miejscach, wypady te mają nadto wielkie znaczenie moralne, zmuszając Niemców do ustawicznej czujności na wybrzeżu, wzmacniania garnizonów i t.p., a ludności norweskiej dodając otuchy i zachęty do oporu.

W pierwszym wypadzie chodziło głównie o zniszczenie Niemcom jak największej ilości tonnażu pomocniczego. W wyniku operacji na wyspie Vaagso (niedaleko Andaalsnes) zatopiono 5 statków handlowych, przygotowanych do transportu, 2 uzbrojone trawlery i jedną wielką barkę. Razem 8 okrętów i statków ogólnego tonnażu 15,650 tonn. Jednocześnie samoloty brytyjske zbombardowały lotnisko, położone o 100 mil na południe i skutecznie pomagały w opanowaniu miasteczek i osiedli, atakowanych przez "Komandos."

Najcięższe walki nawiązały się w miejscowości "południowe Vaagso," gdzie Niemcy stracili z górą 120 zabitych, a 95 wzięto do niewoli. Okręty, które wspierały swoim ogniem walczących na lądzie i odpierały wraz z samolotami atak powietrzny samolotów niemieckich, poniosły bardzo małe uszkodzenia i cało powróciły do Wielkiej Brytanii. Brytyjczycy stracili 11 samolotów.

Drugi raid odbył się na Boże Narodzenie i na Nowy Rok aż na wyspy Lofotskie. W tym wypadzie brały właśnie udział okręty polskie. Walki tu były mniej intensywne, choć również osiągnięto pełne powodzenie. Pobyt okrętów, "Komandos" i oddziałów norweskich na wyspach Lofotskich trwał przez cały szereg dni i "zniszczenia, których dokonano były dokładne," jak pisze jeden z korespondentów. Okręty i wojska były częstokroć atakowane przez lotnictwo niemieckie. Strat po stronie brytyjsko-polskiej nie było żadnych. Natomiast zatopiono nieprzyjacielski okręt patrolowy i strącono samolot niemiecki. Co najważniejsze zaś na długi okres czasu zdezorganizowano Niemcom linie komunikacyjne w tej ważnej dla nich okolicy. Wypadem dowodził kontr-admirał L. H. M. Hamilton.

WSZĘDZIE POLACY

Na każdym prawie odcinku europejsko-afrykańskiego frontu walki widoczna jest krwawa, pełna poświęcenia praca polska. W powietrzu, na morzu, nad morzem, na lądzie, Polacy dają pełnowartościowy wkład, a imię polskie dźwięczy, jak okrzyk bojowy.

W wypadzie na Lofoty brały udział, dzielnie i skutecznie, okręty Polskiej Marynarki Wojennej, w dziennym bombardowaniu Brestu, w dniu 30 grudnia 1941 r., w którym poważnie uszkodzono niemiecki okręt liniowy "Scharnhorst" po raz niewiadomo który, trafiono w "Gneisenau" i w ciężki krążownik "Prinz Eugen," niepośledni udział brały eskadry myśliwców i bombowców Polskiego Lotnictwa, a do zdobycia Bardii w Libii, obok dział okrętów brytyjskich, przyczyniła się walnie artyleria Wojska Polskiego.

Szczególnie piękny był udział polskich lotników w napadzie na port w Breście i na niemieckie okręty. Polskie "Skrzydło" Spitfire'ów zniszczyło 7 niemieckich Messerschmidtów 109 w pięciominutowej walce. "Skrzydło" to. pozostawione jako "straż tylna" bombowców, które po wykonaniu swego zadania odlatywały do Anglii, czekało czas pewien na nieprzyjaciela. Gdy pojawiły się niemieckie samoloty pościgowe, rzuciło się na nie z góry jak stado jastrzębi, nurkując z 13,000 stóp.

MORZE ŚRÓDZIEMNE

Marynarka brytyjska i Sprzymierzonych (i tam również są polskie okręty, pod wodą i na wodzie dźwięczą polskie imiona i polskie słowa) wykonywuje z pełnym powodzeniem ciężką i niewdzięczną pracę na Morzu Śródziemnym. Admirał Cunningham, naczelny wódz sił morskich na Morzu Śródziemnym, ze słusznym zadowoleniem mógł powiedzieć:

— "Podczas postępów naszego wojska w Libii nieprzyjaciel robił specjalne wysiłki, aby przerwać naszą blokadę i dosłać posiłki w ludziach i materiale generałowi Rommelowi. Nie sprzyjało mu jednak powodzenie. Nasza kontrakcja była dobra i skuteczna. Zatopiliśmy 2 niemieckie okręty podwodne i 1 włoski. Wzięliśmy z tych okrętów wielu jeńców.

Były nawet próby zaopatrywania Bardii przez te okręty podwodne. I temu także zapobiegliśmy. Napewno zatopiono w tych operacjach 3 okręty podwodne. Wśród jeńców było wielu Niemców o "odpychającej powierzchowności Gestapowców," którzy, po wyciągnięciu z wody, prosili, aby ich odizolować od jeńców włoskich. Jeden z dowódców naszych k.t. ("sprzymierzonych," czy angielskich?—zapytanie autora) proponował, aby rozwiązać zagadnienie przez wrzucenie Niemców ponownie do wody. Ze względów humanitarnych projekt ten nie został jednak wykonany."

AKTYWNOŚĆ MARYNAREK SPRZYMIERZONYCH

Przez Morze Śródziemne i przez Ocean Atlantycki idą nadal wielkie konwoje brytyjskie. Idą posiłki do Libii i na Daleki Wschód. Niemcy i Włosi starają się wszelkimi sposobami przeszkodzić tej procesji. Na jeden z większych konwojów zrobili szczególnie gorący napad trwający 5 dni. A pomimo to z konwoju liczącego 31 statków, zatonęły tylko 3, w tym 2 okręty wojenne: kontrtorpedowiec "Stanley" (jeden z 50 amerykańskich) i krążownik pomocniczy "Audacity."

Przy tak wielkiej aktywności marynarki brytyjskiej i marynarek Sprzymierzonych niestety muszą być i straty. W jednej z operacji wpadł na minę i zatonął krążownik H.M.S. "Neptune" (Klasa "Leander", 7,100 tonn, 8 dział 6 calowych, 4 działa 4 calowe, 4 wyrzutnie torpedowe, 32 węzły szybkości, 550 ludzi załogi.), oraz wpadł na minę i został tak mocno uszkodzony, że własna załoga zmuszona była go zatopić, kontrtorpedowiec "Kandahar." Holendrzy również donieśli o stracie jednego ze swych okrętów podwodnych w Indiach Wschodnich, okrętów, które wykonują tak piękną pracę przeciw 'Japsom".

JEDNOLITOŚĆ DOWODZENIA

Wypadki, których ważność zadokumentowana została dla Sprzymierzonych długą listą niepowodzeń na Oceanie Spokojnym i na jego wybrzeżach, dowiodły, że jednolite dowództwo na lądzie i na morzu jest nieodzowne. Cały świat walczący z Niemcami i ich sprzymierzeńcami powitał z ulgą decyzję dwu wielkich mężów stanu Roosevelta i Churchilla wprowadzającą jednolite dowodzenie na Oceanie Spokojnym i na jego wybrzeżach.

Daj Boże, aby w wyniku takiej planowej i celowej akcji, Japończyków spotkała jaknajprędzej na Oceanie Spokojnym owa, zapowiadana przez Churchilla, "nieprzyjemna niespodzianka." Może wówczas Sprzymierzeni dojdą do wniosku, że strategią światową powinni w chwilach walki wszędzie kierować nie tylko politycy, ale również i marynarze i wojskowi.

Londyn 4 stycznia 1942 r.

BOHDAN PAWŁOWICZ

SPIS RZECZY

ŻĄDAJCIE OD WŁAŚCICIELI SKLEPÓW I KIOSKÓW Z PISMAMI, ABY SPROWADZALI DOSTATECZNĄ ILOŚĆ EGZEMPLARZY "POLSKI WALCZĄCEJ."
TŁUMACZCIE IM, ŻE TO LEŻY W ICH INTERESIE I W WASZYM INTERESIE, ABY MIELI RACZEJ O DWA EGZEMPLARZE ZA DUŻO, NIŻ O JEDEN ZA MAŁO.
PODAWAJCIE NAM ADRESY SKLEPÓW I KIOSKÓW, W KTÓRYCH ZABRAKŁO DLA WAS EGZEMPLARZY "POLSKI WALCZĄCEJ."

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices), The Carlton Berry Co., 136, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2. Tel.: ABBEY 5108.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.